

Jerzy Braun

**Kiedy księżyc
umiera**



waldi0055

JERZY BRAUN

KIEDY KSIĘŻYC UMIERA

- *****
- #####
- *****
- !!!

- Kiedy księżyc umiera. Fantastyczna powieść z życia mieszkańców drugiego globu .

- Księgarnia Krakowska,
- (1925)Kraków.

Jerzy Braun

Kiedy księżyc umiera.

Rozdział I.

SAR-ASAR-ASARAS.

– Patrz!

Sar wskazał palcem. Oczy młodego awanturnika Nabu pobiegly, w tym kierunku.

Różowy słup ognia gdzieś w ciemnogramatowej oddali trwał na horyzoncie, jak różga, oblewając złowieszczą, bladoczerwoną luną niebo.

– Znowu Abra...

– Widzę, panie.

– To są ostrzegawcze znaki. Za rok, za dwa, może prędzej, może za miesiąc nawet wybuch oczekiwany nastąpi. A wtedy?...

Siwobrody Sar wsparł czoło na dłoniach i mówił dalej

stłumionym głosem:

– Wtedy klęska i śmierć i zatrata. Wiesz przecie, synu, że Abra jest wielka, Krater Ahry ma blisko 100.000: długości istoty ludzkiej*), a 70 000 szeroki. Siła wybuchu ławy i ognia, z wnętrza naszego księżyca przerywająca skorupę na takiej przestrzeni, musi być straszna. I to jest rzecz, która się nie da odwrócić.

*) 1 długość człowieka = 1 metr.

– Czemuż nie ostrzegacie o tym mieszkańców naszego kraju, naszych miast i wiosek, naszej stolicy?

--- Synu, nie odwrócisz już niczem zagłady. Powiedz mi gdzie pójdziemy?

Czy na wielką pustynię równikową, gdzie żar słoneczny w ostatnich latach przewyższa temperaturę wrzenia wody? Czy dalej, na południe, w straszliwy, ścinający krew w żyłach swoją grozą Kraj Kraterów, gdzie co dzień i co noc nowe potworne wstrząśnienia burzą skorupę księżycowej kuli? Czy może na wschód w obszary przeraźliwych puszczy, gdzie mróz i zawieje i złośliwa zaraza Džas, pokrywająca skórę pękającymi wrzodami. wygubią nas doszczętnie?...

Wielki awanturnik Nabu, dowódca wojsk stołecznych, trzasnął po rękojeści długiego, żelaznego noża u pasa.

Mądry starcze Sar, naczelniku miasta Asar, stolicy ludu Asarns, powiedz. czy naprawdę nie masz nam gdzie już pójść z tej przeklętej, konającej połaci naszego globu? A czy nie pomyślałeś o innych jeszcze, dalszych, lepszych krajach?!..

Ciemność robiła się kompletna. Zapadła noc księżycowa, straszna, smutna noc długa jak wieczność. Rzadkość atmosfery powodowała tak szybkie przelewanie się światła

w mrok, że nie upłynęła 24 część obrotu ziemi na niebie od

*) Doba księżycowa = 28 dni ziemskich
(672 godzin ziemskich).

chwili zajścia słońca za czarne, poszarpane zwały gór na zachodzie, a już zaledwie twarz ludzką obok swojej twarzy zdołało się rozpoznać. Ziemia tak wspaniale zastępująca światło słoneczne w noc księżycową, chyliła się ku swej najwęższej fazie nowiu i widoczną była na czarnym tle niebios tylko jako cienki, biały sierp o nikłym blasku.

W ciemnościach prawie namacalnych, tam ostrzej, tam groźniej strzelał w niebo ponurym słupem czerwieni olbrzymi wulkan Abra **) który no tysiącletniej przeszło drzemce zaczynał budzić się do życia. Niestety jego życie i jego praca sprowadzić musiała nieodwołalnie i nieubłagane śmierć na ludny kraj Asaras nad Morzem Dżdżystem i owoce pracy ludzkiej z wielu tysięcy lat pogrzebać w pękającej w drzazgi ziemi.

Wraz z zapadaniem ciemności ciepło ulatniało się z niebezpieczną szybkością z atmosfery i policzki ludzi poczęły szczypać jeszcze jeden srogi wróg życia na księżycu – mróz.

– Zimno – mruknął Sar.

– Trochę, ale to jeszcze drobnostka – uśmiechnął się Nabu.

Jego twarda, hartowna skóra żołnierza czyniła go obojętnym na tego rodzaju lekki "przymrozek" który już teraz wyrażał się w cyfrze 2,5" poniżej zera. Wahanie ciepłoty oznaczano jednostką*.

**) Plato.

*) W temperaturze 10 takich jednostek powyżej zera wrze wodą).

--- Mimo to wdziejemy maski – zawyrokował Sar.

Dotknął wskazującym palcem wypukłego punktu na malej stalowej płycie na stoliku. Na tarasie pałacu rozbłysło nagle dwanaście ogromnych lamp elektrycznych, olśniewających swym niesłychanie natężonym blaskiem. Równocześnie zjawił się jak cień, mały chłopiec służebny, niosąc dwa grube, futrzane płaszcze.

Mężczyźni szybko wdziali je i opięli się szczelnie. Na twarze nałożyli maski ze specjalnej masy stale ogrzewanej przepływającym przez nią elektrycznym prądem. Same płaszcze były też skonstruowane na wzór samoogrzewaczy, którym energii cieplnej udzielały elektryczne, baterje umieszczone na piersiach. Przez białą soczewkę małe lampki do tych baterij przymocowano, rzucały. Ostre smugi światła, oświetlające dość znaczną przestrzeń wokoło. Na księżycu w epoce ulatniania się atmosfery światło rozpraszało się tak bardzo, że lampy niezliczonym mnóstwem oświetlające ulice miast nie wystarczały. Każdy człowiek pomagał sobie w nocy ową lampką na piersiach w której promieniu widział wszystko wyraźniej, niż w blasku ulicznych latarni.

*) 10" ziemskich

– Tak, Nabu. To jest piękne, ale smutne, bardzo. Jeszcze za moich młodych lat (minęło już od tego czasu około tysiąc obrotów księżyca wokół ziemi) inaczej wyglądał nasz glob, inaczej wyglądało niebo.

– Opowiedz mistrzu.

--- Dzieckiem jesteś, Nabu. Tyle jut razy słyszeliście wy

ludzie młodzi od ludzi starych jak było i *co* było, tak długo i dokładnie uczyliście się w szkołach nie tylko tego, co widzieliśmy my i nasi ojcowie i praojcowie, ale i o tom, co było 100 i 1000 pokoleń temu wstecz, kiedy to nasz księżyc był wspaniałym, kwitnącym globem, kiedy bujnie płodzące się życie przewalało się po jego powierzchni.

I zawsze domagacie się od nas tych samych opowiadań, których słuchacie zamyśleni i niedowierzający, jak bajek, jak czarów jak legendy.

--- Dlaczegoż więc, skoro jeszcze za twoich młodych lat było inaczej, teraz jest złe, co mówię? beznadziejnie prawie...

--- Przełom w dziejach naszego globu, katastrofa kosmiczna prosta jak prawidła obliczeń matematycznych, jasne dla nas ludzi ksiąg i wiedzy, jak to słońce, które w dzień płonie na niebie Księżyc starzeje się, ostyga i kurczy się, jak staruszek. Resztki żaru, resztki drzemiącego w jego głębi ognia wytryskują zeń przez nagle ożywione we wszystkich punktach naszego globu kratery i uciekają w próżnię. Ciężenie ciał zmniejsza się, drobiny tlenu i azotu, poruszające się z właściwą sobie prędkością, znalazły się na granicy tej siły. Wyobraź, sobie, że siła ciężenia ciał na księżycu wynosi 2, a prędkość wyżej wspomnianych drobin (zależna od ciężaru drobinowego i temperatury, równa się także 2. Gorzej jeszcze, wyobraź sobie, że ta prędkość równa się 2.1. Cóż się stanie wtedy? Pomimo, że księżyc przyciąga wszystkie ciała na wewnątrz skorupy, ciało wyrzucone pionowo w górę z prędkością 2.1, nie spadnie już z powrotem i opuści księżyc na zawsze. Otóż taka sytuacja zaistniała już niestety na globie naszym od dawna. Tracimy atmosferę, chłonie ją próżnia w maksymalnej ilości, w minimalnej zabiera nam ją ziemia, nasza wspaniała matka, która wbrew wszelkim prawom ludzkim, a według

praw kosmicznych, teraz dopiero wkracza w stadium początkowe swojego rozwoju. Jako bryła wielokroć razy od naszej większa, przechodzi ona o wiele dłużej swój proces stygnięcia, a tym samym teraz dopiero znajduje się ona w okresie skorupienia i hojnego krzewienia się życia.

– Nie ma więc rady, niema dla nas ratunku?!

– Nie ma.

Słowa te ponurym echem odbiły się na tarasie pałacowym i swoim starczym chłodem obudzić musiały gorący sprzeciw nieokaleczonej jeszcze młodości. Jakaś postać drobna i ciemna, zakutana również we futro i maskę, wychynęła się z za kotar drzwi wejściowych i zbliżyła się ku nim szybko.

– Ojczce – zaśpiewał melodyjny głos.

– Czemu tak smutne i straszna rzeczy mówisz naszemu dzielnemu Nabu? On młody. Nie trzeba mu odbierać energii i wspaniałego zapału, jakim serce jego płonie. Nabu jest mężny. Nabu pobił wielu nieprzyjaciół, a uderzenie jego miecza jest silniejsze i skuteczniejsze od słów twoich. Zabija na miejscu, a słowa twoje obiecują powolne konanie.

– Elen, jesteś dziecinna. Wiesz o tym tak dobrze, jak i ja, że katastrofa jest bliska. Mimo lat młodych jesteś kobietą uczoną i posiadałaś wiele najgłębszych tajemników mojej wiedzy.

– Sar, starce Sar, panie mój i mistrzu ukochany, złotowłosa Elen ma słuszność. Zapomnijmy o smutnej przyszłości, a pomyślmy o tym, jak odeprzeć stojące u naszych wrót niebezpieczeństwo.

– O czym mówisz?

– O wojnie.

Sar zachnął się gniewnie.

– Nie chcę nic słyszeć o tym. Ludzie czy nie dość wam tego. że siły nieprzewyciężone, siły kosmiczne sprzysięgły

się na waszą zgubę, jeszcze wam przelewu krwi brakło?!

Podniósł w górę ramiona.

– O Słońce, Słońce, ty straszliwy władco pyłów, okrążających cię w pokorze. Spójrz na tych nieszczęsnych, malutkich głupców. Czyż to ty bezlitośnie karzesz nas śmiercią i obłędem? Czy to ty ciskając nas w otchłań czarnej, lodowej zatraty, zsyłasz jeszcze i ten pożerający płomień na mózgi ludzkie? Wojna? Wciąż krew i wciąż łzy i zawsze tylko zniszczenie?!!!

Mróz wzmagął się.

Hermetycznie zamknięte mieszkania ludzi zużywały niezmierną ilość energii cieplnej w piecach elektrycznych i zwyczajnych, *ogrzewanych płonącymi* materiałami palnymi. Z powodu jednak stałe zmniejszającej się ilości cząsteczek tlenu w powietrzu, te drogie piece stawały się bezużyteczne. Ludzie zamykali się w swoich domostwach przy dobroczynnych piecach i wegetowali nędznie, bojąc się wyrzec na pole, w otchłań szalejącego mrozu.

Nabu podszedł do balustrady i wsparty na niej spojrzął w dół na miasto.

Miljonowa stolica Asar, perła północy. Lśniła jak cudna tęczowa fontasmagorja nieprzeliczonym mnóstwem świateł i światełek, od największych nieruchomych lamp, aż do najmniejszych, drobnutkich punkcików świetlnych, poruszających się chyżo. Były to *pojazdy i* przechodnio uliczni.

Powierzchnia doliny, na której rozłożyło się miasto; przybrała pozór czystego, usianego milionem gwiazd sklepienia niebios. W górze nad miastem drugie niebios, te prawdziwe, skrzyły również cichym, mroźnym, surowym blaskiem, pozbawionym prawie zupełnie migotania wskutek rzadkości atmosfery, przyczem omal, że rozróżniało się głębię firmamentu i rozmieszczenie

gwoździ gwiazdnych w rozmaitych odległościach perspektywicznych. Było to zjawisko tak przejmujące dreszczem w swym majestacie, że nawet zuchwały, nieporuszony niczem Nabu, wstrząsnął się i odwrócił oczy.

Wyprostowaną pierś podał naprzód i pięścią pogroził Nabu

– Słuchaj ty młody. Strzeż się wojny. Odpasz to żelazo, abyś tym szybciej zguby i kary nie ściągnął na głowy nasze. Od setek lat nic tylko krzyk i ogień i wojna. Małoż wam było tej wściekłej, plugawej rzeźni przez trzy lata nad Morzem Burzliwym z nieokrzesanemi plemionami zwrotników? Małoż wam było tego okrutnego najazdu Timrów, żeglarzy z pod Gór Słonecznych. *) wywołanego przez wasze lekkomyślne, awanturnicze wyprawy?! Małoż wam było starych przewlekłych wojen z zaciekłym ludem Dar na skraju Puszczy Wschodu, którego jeżeli niebo nie pokarze za obrzydliwą krwiożerczość i butę, to chyba nie masz już sprawiedliwości na Księżycu... I teraz jeszcze po tych wszystkich ropiejących niezagojonych wcale ranach chce im się znów bezużytecznej, krwawej szarpaniny z góralami z Gór Urwistych, których jeszcze nikt z ich gniazd nie wyparł i nie zwyciężył?...

Umilkł i dyszał ciężko.

*) Karpaty Księżycowe pomiędzy Mare Imbrium a Mare Procellarum.

***) Apeniny, *najwyższe* góry na księżycu na południe od Mare Imbrium.

--- Ojczy, nie gniewaj się – rzekła smutnie Elen. – Kraj Asnras nie jest winien tej wojnie. Górale wywołali ją.

Obrócił na nią oczy, pełne blasku i potrząsnął trzy razy

rękami nad głową.

--- Pojednanie, pojednanie, pojednanie – wyszeptał.

Zapadła cisza.

Z dołu, z miasta doleciał głuchy, monotony sygnał dzwoniów. To dzwoniły strażnicy na dworcach odjazdowych, na znak, że transporty elektrycznych wozów wyruszają w podróż na południe.

--- Żołnierze jadą? – spytała cichutko Elen.

– Tak, żołnierze, na wojnę – odpowiedział.

– Ojczy! – krzyknęła Elen. – Jeżeli naprawdę krater Abra wybuchnąc ma niedługo i zabić wokół życie, zbierz lud i wiedz nas...

--- Gdzie?!

– Na drugą półkulę! - z ogniem w zrenicach odkrzyknęła kobieta. Te trzy słowa spadły, Jak piorun.

Nabu otworzył usta, jakby chciał coś mówić, ale zamknął je prędko widząc, że Sar podnosi głowę z nad księgi, w której się zatopił. ...

– Na drugą półkulę? – powtórzył. Skinął na córkę, aby podeszła bliżej, a gdy stanęła przy nim, podniósł starczą, dłoń i szybko zakrył jej usta.

– Podnieś głowę, córko i padnij na kolana, i krzyknij trzy razy w tę stronę nieba, gdzie znajduje się Ziemia, to święte wielkie słowo: Przebacz!... Albowiem wiesz, córko, i uczyły cię o tem z księgi, że na drugiej półkuli mieszkają ci, którzy odrzekli się prawdy. Że tam, w Kraju Kwitnących Roślin, założyły swoje przekłete siedziby Ludy Nieczyste. Że uczy religia, jako matka nasza Ziemia nie chcąc patrzeć na ich straszliwą złość i nagi grzech i rozpustę, przeniosła się na tę stronę nieba i im już nigdy świecić nie będzie. Nie, córko, my nie pójdziemy na drugą półkulę!

– Choćbyśmy ginęli? – wyjąkała lekliwie Elen, przerażona wybuchem starca.

– Choćbyśmy ginęli, bez ognia, bez powietrza, bez wody. Choćby nas zwęglił żar i w bryły zamroził chłód międzyplanetarny. Choćby nas zalewała ława i popiół i ogień rozszalałych kraterów. Choćbyśmy ginęli bez ratunku, nie pójdziemy...

Zakaszła i złapał się za pierś ręką.

--- Mróz – rzeki do siebie. – Wielki mróz...

Istotnie ciepłomierze wskazywały już 62° poniżej zera. Niebo ziało potwornym, białym mrozem, jak oddech śmierci.

Starzec kiwnął dłonią na pożegnanie młodym i wszedł do pałacu.

A gdy drzwi zamknęły się za nim, nie zostało już nic ciepłego w krąg na globie i na niebie – prócz dwu par iskrzących źrenic, które wpatrzyły się w siebie z bezbrzeżną miłością i oddaniem.

– Nabu – rzekła cicho dziewczyna i podszedłszy ku niemu, przy tuliła się doń całą postacią. I tak stali oboje nieruchomi na tle łuny kra teru Abra, ostatni oblubieńcy na księżycu.

Patrzyli na Ziemię...

Rozdział II

DRUGA WĘDRÓWKA LUDÓW NA KSIĘŻYCU.

Głuchy, monotony tupot wielu tysięcy nóg załomotał po metalowych płytach Placu Słońca. Równymi rzędami, po dwudziestu w jednym, maszerowali żołnierze. Drobni, ale krępi i silnie zbudowani, o kwadratowych, żółtawoskórych twarzach, obładowani ciężarem broni i przyborów wojennych, poruszali się automatycznie, jak lalki woskowe, wyrzucając jednocześnie, idealnie zmechanizowanym ruchem nogi przed siebie. Byli to przeważnie wieśniacy z podgórskich okolic zachodniej prowincji Asaras która rozciągała się wzdłuż potężnego łańcucha Gór Lodowych.
*)

Typ tych ludzi różnił się wybitnie od mieszkańców Pobrzeża, do których zaliczali się w czterech piątach mieszkańcy stolicy Asar. Jako żołnierze odznaczeni się Podgórzynie żelazną wytrzymałością w boju, obojętnym spokojem i równowagą ducha w znoszeniu trudów i niedostatków kampanji. Jako bliscy sąsiedzi gór nadawali się do uciążliwej wojny górskiej i skalnej partyzantki w Górach Urwistych o wiele lepiej od ludzi z dolin i równin.

U stóp świątyni Słońca z wysokiej, zdobnej we wzorzyste tkaniny trybuny przyglądali się defiladzie wojsk wodzowie z Przybocznej Rady Wojennej króla.

Było ich pięciu.

Jeden z nich wstał i podniósł prawą rękę.

Na to hasło zahuczał chór rogów, o niskim, głębokim brzmieniu, w które dęli wartownicy u stóp trybuny.

Rozległ się krzyk komendy, powtarzany wielokrotnie przez, naczelników, poszczególnych oddziałów. Armia

zatrzymała się, jak wryta.

Przybiegł Nabu w swoim lśniącym, elektrycznym pojeździe i zatrzymał się naprzeciw Trybuny, pozdrawiając wodzów. A wódz, który wstał i dał znak

*) Alpy księżycowe.

do zatrzymania przemarszu oddziałów, począł czytać Pozdrowienie Królewskie, które przyboczny jego powtarzał wszem i wobec przez tubę.

Ogromny grzmot głosu przewalał się wzdłuż i wszerz po Placu Słońca.

– Żołnierze! Król Ar-Aras pozdrawia was. Wielki i święty kapłan Sar i jego miasto Asar i królewski kraj Asaras pozdrawiają was. Wodzowie wasi pozdrawiają was. Idźcie na walkę na śmierć, albo na zwycięstwo!

– Ar-Aras! Ar-Aras! Ar-Aras! okrzyknęli żołnierze trzykrotnie imię króla.

Lunał potworny huk straszliwych proc elektrycznych, wyrzucających piroksylipowe pociski z luf o dwudziestu czterech długościach ludzkich. Zawsze w czasie królewskich parad strzelano ostrymi pociskami, nie bojąc się, że spadając, wyrządza komukolwiek krzywdę. Mała siła ciężenia i rzadkość atmosfery sprawiało, że pociski wyrzucane pionowo w niebo, nie wracały już na księżyc, wylatując poza granicę ciężenia.

Parada skończyła się. Nahu odjechał na czoło armji by raz jeszcze zlustrować szyk i sprawność i wyposażenie bojowe oddziałów. Tłumy ludu rozbiegły się równie szybko, jak zgromadziły się przedtem, ruch uliczny napłynął znów powrotną falą. Ruszyły znów nieprzerwaną strugą sznury pojazdów elektrycznych i wozów ciągnionych przez Obi, małe, lecz niebywale silne i zwinne

zwierzęta. Ludzie wyroili się na wszystkie place i ulice stolicy w codziennej, gorączkowej krzątaninie.

Równocześnie zaś ośmnaście tysięcy żołnierzy pod wodzą śmiałego Nabu wsiadało we wozy transportów na Dworcu Wojennym...

Był to gorący poranek siódmego dnia księżyca 5684-go roku od założenia królestwa Asar. Słońce stanęło już dość wysoko na firmamencie, niebo, jak zwykle, czyste było i niezamącone żadnym obłoczkiem. Od czasu ulatniania się atmosfery chmury coraz rzadziej pojawiały się na niebie księżyca. To też rok w rok posucha niszczyła większą część plonów i gdyby nie regularny i masowy dowóz żywności z wysp Morza Dżdżystego, nawiedzianych najczęściej deszczem i obdarzonych najbardziej umiarkowaną temperaturą na całej półkuli – mieszkańcy państwa Asaras zginęliby z głodu.

Żar słoneczny na tych obszarach, zabijający po prostu wszelkie życie (przeciętnie w południe około 12**) księżycowych) przewyższający temperaturę wrzenia wody, oraz wysokie wzniesienie ponad poziom, powodująca większą, niż gdziekolwiek indziej rzadkość atmosfery czynią nam to zniknięcie mórz zupełnie zrozumiałym. Na domiar złego jest to teren na wskroś wulkaniczny, podlegający ciągłym, potężnym wstrząsom podziemnym. Znajduje się tu około 40 000 kraterów, z których czwarta część jeszcze wciąż w stanie czynnym.

Są tu kratery olbrzymie od średnicy od 100 do 250 kilometrów*), których ściany sterczące prawie pionowo z dna kraterów

1*), 120* ziemskich.

2*) Tyle, co kilometr ziemski.

sięgają nieraz 4000 **) długości człowieka. Na dnie kraterów

wygasłych wnoszą się potężne i strome stożki oraz niniejsze wzniesienia. W Kraterze Olbrzymów na południowy zachód do Morza Burzliwego usadowiło się całe zbiorowisko górskie.

Dla obserwatora Kraj Kraterów przedstawiać musi widowisko wspaniałe, panoramę ponurego majestatu i grozy. Potężne wały, górskie, nagle, poszarpane szczyty i wieńce stromych żlebów okalających kratery, potworne spiętrzone bloki skalne jedne na drugich, pnące się wciąż. Wyżej i wyżej w buchające żarem niebo, pusty, przeraźliwie martwy kraj, obraz bez jednego drzewka i jednej trawki nawet, gmatwanina kształtów geometrycznych, turnic i iglice o gładkich prostopadłych ścianach i przepaście o czarnych, śmiercią ziejących dnach – oto Kraj Kraterów. Te noce pod Czarnem, zamrażającym sklepieniem niebieskiem, pełne huku i gwałtu wybuchających wulkanów, przecięte setką słupów ognistych i oblane łunami mnóstwa rozszalałych kraterów, gdy powierzchnia globu kurczy się i trzeszczy i pęka w rysy, bruzdy i szczeliny, gdy płynny żar potopów lawy i magmy podziemnej spływa po stopniach górskich złomów, a czarne, popielato i różowe chmury popiołu zasłaniają gwiazdy, słowem te noce prawdziwie piekielne wyglądają chyba na igrzyska szatana.

Czyż można się dziwić, że nieliczne resztki istot ludzkich, wegetujących w tym teatrze okropności przyrody, zahartowane w ogniu i mrozie, przyzwy-

**) Długość, człowieka = 1 metr.

czajone do grozy tych widowisk, – teraz wobec warunków z piorunującą szybkością pogarszających się jeszcze, w panicznym strachu opuszczają tę okrutną, niegościnną ojczyznę i wędrują dalej, przed siebie, gdzie oczy poniosą,

ku równikom. Żar i chłód, brali wody, głód, wulkany trzęsienie ziemi i potworny lęk człowieka wobec rozpętanych żywiołów przyrody, czegoż jeszcze więcej potrzeba?

Ale u zwrotników na równiku znajdują ludy te równie niegościnnie ziemi.

Żar zwiększa się jeszcze, wody, i żywności brak w dalszym ciągu wegetacje roślinne prawie żadne i opuszczone sadyby ludzkie, bo oto plemiona równika opuszczają również swoje dziedziny i pchają się na północ, tam, gdzie, jak naoczni świadkowie głoszą, jest życie, jest woda, są plony, zbierane ręką rolnika i więcej, więcej powietrza. W zagłębieniu zachodnio-północnem utrzymała się największa ilość atmosfery, jako, że powierzchnia globu bliższą tu jest środka ciężkości jego i ciężenie utrzymuje jeszcze drobiny tlenu i azotu przy ziemi.

Na tym ponurym szlaku wędrujących plemion, gdzie czyha śmierć na każdym kroku, tysiące gnijących trupów, tysiące porażonych słońcem, zamrzniętych lodem, wyczerpanych pragnieniem i głodem, pozostaje w dolinach, wąwozach, przełęczach, i stepach, ale reszta płynie wciąż naprzód z dzikim fanatyzmem żądy zdobycia i życia. Oto walka o byt w całej okropności i grozie.

Druga wędrówka ludów na księżycu.

Powrotna lala.

Dzieje konającego globu notują już raz taką wędrówkę, ale jakże odmienną od obecnej.

Wtedy z tego samego gniazda, z tej samej połaci księżycowego globu przed wielu, wielu tysiącami lat wyruszały krzepkie, śmiałe, radosne ludy na podbój nieznanymi obszarów pod zwrotniki, pod równik i dalej jeszcze na południe. Wtedy księżyc kipiał nadmiarem życia, głębokie oceany falowały od brzegów do brzegów, niosąc

na falach łodzie odkrywców w sine dale nieznanych lądów, rzeki, i wodospady drgały srebrem i złotem w słońcu, bujne, wilgotne lasy dziewicze pokrywały ogromne obszary globu, a w lasach pełno zwierząt, pełzaczy, biegaczy i lotnych. Burze i deszcze, powódzie i działanie wód biejących – wszystko to użyźniało glebę, czyniąc ją powolną i chętną twórczym poczynaniom rolników.

Wprawdzie uczeni przyrodnicy przyrzadzali znakomite środki odżywcze, przy pomocy chemii, ale wytwórczość ta była jeszcze zbyt mało rozpowszechniona, by mogło to zaspokoić zapotrzebowanie całej ludności państwa liczącego około 20-stu milionów mieszkańców.

Nic też dziwnego, że ludy zamieszkujące strefę zwrotnikową i dzikie obszary Kraju Kraterów, jako też wojownicze szczepy państwa rozbójniczego Dar ginęły wprost z głodu w swych niepłodnych krainach i pchały się instynktownie i świadomie na północ aby wyprzeć najlepiej zagospodarowane plemię Asaras z jego siedzib, jedyńskich, które jeszcze dawały jakie takie szanse utrzymania się i dalszego bytu.

Jeżeli spojrzymy na mapę księżycowego globu (mowa tu o półkuli zwróconej ku Ziemi), zauważymy, że morza jego i w ogóle wszystkie prawie wody, resztki burzliwych i bezdennych niegdyś oceanów zajmujących cztery piąte półkuli, skupiły się przeważnie w północno zachodniej jej połaci, od równika, aż po sam prawie biegun.

Morze Dżdżyste (nad którym leży królestwo Asaras) zajmuje jedną trzecią część, tego zbiorowiska wód, nieco mniej Morze Burzliwe rozpościerające się na południe od Gór Słonecznych, aż poza równik przelewając się na południową półkulę. Reszta to Marze Lodowe pod samym biegunem i kilka mniejszych mórz i jezior, pozostałości dawnych mórz które nie wyparowały jeszcze z powierzchni

księżycyca wraz z ulatnianiem się atmosfery i wzmaganiem się zabójczych upałów dziennych.

Przyczynę tego skupienia się mórz poznamy bez trudu, skoro tylko przyglądniemy się warstwicowej mapie księżycyca, Największe zagłębienie nie, terenu poniżej poziomu 0, który oznaczono według poziomu mórz na księżycu z roku 2000 od założenia królestwa Asards, który uznano za przełomowy i od którego stan wód księżycowych począł opadać --- znajduje się właśnie w tej północno-zachodniej części półkuli. Jeszcze jeden taki głębszy basen znajduje się w północno-wschodniej części półkuli i tam także zachowało, się znacznej wielkości morze zwane Morzem Jasnych Nocy.

Nazwa ta pochodzi jeszcze z czasów obfitej atmosfery, kiedy światło Ziemi było o wiele bardziej skupione i intensywne.

Jeżeli nakreślimy linię prostą od bieguna do bieguna, zauważymy także, że wzdłuż linii tej spiętrzyły się najpotężniejsze bloki i łańcuchy górskie i to począwszy niemal od samego północnego bieguna przez równik, aż na południową półkulę, gdzie nagromadziło się gros wzniesień księżycowych, skupionych w olbrzymią wyżynę Kraju Kraterów, jedną czwartą część całej półkuli zwróconej do Ziemi.

Jeżeli tedy na południe do równika były niegdyś jakieś morza i baseny wodne (a że były świadczą o tem stare mapy księżycyca i księgi przyrodnicze), to jako wzniesione o wiele ponad obecny poziom mórz na północnym zachodzie półkuli musiały wszystkie ulotnić się wraz z atmosferą i wyschnąć.

Dziś potomkowie skarłowaciali tych samych szczepów, nędzni, czarni i dzicy wracają.

Powrotna fala uderza o mur piersi broniących królestwa

Asaras przed zalewem.

W swem religijnem zaciętrzewieniu mylił się stary kapłan Sar, przeklinając wojnę.

Lud Asaras walczył o byt.

Lud Asaras wiedział dobrze, że z chwilą, gdy linja bojowa, trwająca mężnie u granicy, runie, hordy zdziczałych, bezlitosnych zdobywców wytępią wszelki twór żyjący w tej ludnej krainie i sami zajmą legowiska zwyciężonych.

Nabu, rycerski Nabu!. W tobie nadzieja plemienia twego!

Rozdział III.

DZIWIY KRÓLESTWA ASARAS.

Zaledwie o 630 kemt w linii powietrznej od miasta Asar znajdował się najbliższy odcinek powyginanej w kabłąki i załamania strefy walki Zachodni jej punkt krańcowy opierał się o brzegi Morza Dźdźystego. Od tego punktu aż po Góry Urwiste ciągnęły się obwarowania i linje obronne armji Prawego Skrzydła państwa Asaras. Najstraszliwsze, najuporczywsze zmagania przewalały się krwawą zawieruchą w centrum. w odcinku Gór Urwistych, aż po Żelazne Góry *) na wschodzie. Wreszcie Lewe Skrzydło zajęło cały odcinek Gór Żelaznych, opierając się na północy o potężne masywy kraterów nad brzegami Morza Lodowego. Ta część strefy bojowej najmniej była zagrożona, bo krwiożerczy lud Dar cofnął się chwilowo do swych siedzib po dotkliwej porażce, zadanej mu ubiegłego roku przez wojska Asaras pod wodzą samego Nabu, żołnierza bez trwogi.

Za to na prawe skrzydło i centrum napierały coraz gwałtowniej i uparciej dzikie hordy koczownicze z pod równików wespół zwierzęce gromady ludzi z Kraju Kraterów, prowadzone do holu przez walecznych. przebiegłych i hartownych górali z Gór Urwistych...

Korpus gwardji, który pod wytrawnym dowództwem Nabu miał wesprzeć chwiejący się front górski – podążał na południe wzdłuż Dźdźystego Morza. Długie sznury transportów we wielkich, stalowych wozach, wiozły krzepkie, sprawne oddziały podgórskich wieśniaków w pustą krainę krwi i gwałtu wojny.

Ale wyniosłej sylwety Nabu nie widać było wśród przybocznej rady wojennej korpusu.

*) Żelazne Góry = Kaukaz księżycowy.

Wydawszy ostatnie rozkazy na dworcu odjazdowym, powrócił Nabu do miasta, wezwany przez dostojnego starca Sar na zgromadzenie Władców Ludu, pod przewodnictwem najwyższego kapłana, obradujące w jego pałacu.

Gdy w elektrycznym wozie pędził przez miasto z gładkim szelestem kół po płytach ulic i placów, serce jego tłukło się w piersiach niejasną nadzieją splecioną z trwożliwym uczuciem niepewności.

Czy ją zobaczy jeszcze?

Wojna...

Jego to rzecz, jego sprawa. Ileż to razy wyruszał na czele karnych zastępów, by spaść piorunem pogromu na karki wroga? Ileż to razy żegnał ostatniem tkliwym spojrzeniem starą stolicę Asar nieświadomy wyroków przeznaczeń; nie myślący o tem, czy jeszcze tu powróci. Nigdy najmniejszy zgrzyt wahania nie skaleczył mu nerwów, nigdy żaloszny skurcz wzruszenia nie zdławił mu gardła pętlącą.

Czemuż teraz ociąga się i wzdryga przed tą wojenną drogą na południe, której na imię może: „na zawsze”.

O, Nabu dobrze wie, czemu.

Elen...

To drobne, smukłe, śpiewne imię.

Ta twarzyczka w okoku złotych, wzburzonych kędziarów, łagodnym promieniująca uśmiechem. To mądre, wysokie czoło, białe, jak szczyty Gór Lodowych, te oczy o blasku cudniejszym, niż blask matki Ziemi, ta postać zwinna, urocza, o ruchach giętkich, jak falowanie spokojnego morza.

Jakież to melodyjne szeleszczące, ciepło płynie od niej drażnią cym nerwy strumieniem. Zapach jej skóry jest jak

zapach kwiatu Azar, srebrzysto-miękkich roślin globu.

Elen jest najpiękniejsza ze wszystkich dziewic, jakie wydało dobre, twórcze życie. Elan jest światłem i miłością i pieśnią deszczów porannych. Elen jest wszystkim, co człowiek nazywa szczęściem.

Nabu ją kocha...

Wóz zatrzymał się przed bramą pałacu kapłana. Rzeźbione podwoje otworzyły się powoli, ukazując we wznoszącej się łagodnie perspektywie białe, lśniące, marmurowe schody.

Nabu krzyknął radośnie.

Tam, w górze, na jednym z najwyższych stopni ta oszałamiająca czarem i dziwem postać... to Elen.

Pobiegł chyżo ku niej, przestępując po dwa i trzy stopnie naraz. Stał przed nią roześmiany, z płonąca żrenicą, młody – jak bóg, jak syn Słońca złoty.

– Kocham ciebie. Powracaj prędko...i zabierz mnie... dla siebie... na zawsze!

--- Elen!

Znikła Odfrunęła, jak ptak. Tylko drgały jeszcze leciutko trącone jej piersią gałązki krzewów kwiatowej alei.

Wiele szalonych, rozspiewanych dzwonów huczało w głowie Nabu, gdy szedł ku drzwiom pałacowych komnat.

Zanim otworzył drzwi sali zgromadzeń, uspokoił siłą woli wzburzone nerwy i zahamował przemocą wartką powódź myśli, zalewającą mu mózg pod czaszką.

Wszedł.

– Oto jest Nabu – rzekł wtedy kapłan Sar.

– Czekaliśmy – rzekli chórem pozostali.

Było ich siedemnastu. Kapłan Sar osiemnastym był pomiędzy nimi.

Na wezwanie prezesa rady, kapłana Sar, Nabu usiadł.

– Posłuchaj mnie uważnie, Nabu – ozwał się Sar

uroczyście. – Jesteś podporą tronu i obrońcą bytu ludzi Asaras, których oczy zwrócone są na ciebie. Los obdarzył cię genialnym talentem wodza i jak dotąd żadnym błędem, żadnym niedbalstwem nie splamiłeś tej wielkiej sławy. W ślad za tobą szło zawsze i wszędzie zwycięstwo. Dlatego król Ar-Arns i ja i Przyboczna Rada Wojenna postanowiliśmy oddać w twoje wytrawne dłonie naczelne dowództwo całej linii bojowej. Rada Wojenna zaznajomiła się ze sytuacją obecną, nie tajne żadnych szczegółów, które mogłyby ci być użyteczne dla obmyślenia akcji bojowej, abyś jak najskuteczniej przeciwdziałać mógł wściekłym, obłąkanym atakom naszych wrogów. Wszelkie środki, jakie państwo Asoros ma do rozporządzenia, oddano do twojej dyspozycji. Przygotowałeś plan kampanji który został przyjęty do wiadomości i zatwierdzony. Czy tak jest, Nobu?

– Tak. Wszystko to, co powiedziałaś panie, w zupełności zgadza się z prawdą.

– Za chwilą – ciągnął dalej starzec – opuścisz nasze miasto i udasz się na południe do swoich wojsk, aby tam spełnić sumiennie swój obowiązek wodza – Ale to nie wszystko, Nabu.

– Cóż tedy jeszcze czynić mi wypada – zapytał spokojnie Nabu.

– Oto, co uchwalił Rząd Królestwa Asaras. Oto, co postanowił król jego:

Ponieważ podczas nieobecności naczelnej wodza Nabu, wewnątrz kraju zajść mogą nieprzewidziane wypadki, ponieważ ludzie wtajemniczeni w organizację państwa jego gospodarstwo techniczne zginąć mogą czy to na skutek zamachu licznych wrogów ukrywających się wśród ludności stolicy, czy to na skutek katastrofy kosmicznej (trzęsienie ziemi, lub grożący wybuch wulkanu Abra) – naczelny wódz Nabu otrzymuje przywilej dyktatury i objąć

może jedyną i nieograniczoną władzę – powracając z linii bojowej do kraju. Dla ułatwienia mu zadania, dla zorientowania go w rozlicznych dziedzinach czekającej go pracy, dla ukazania mu w całej pełni odpowiedzialności jaka na nim zaciężać może – postanowiono zaznajomić go z całą maszyną organizacyjną królestwa. Wielki Inżynier Amur-At uda się razem z naczelnym wodzom Nabu na terytorium zakładów państwowych na północ od miasta Asar i objaśni mu wszystko, nie pomijając ani nie zatajając żadnych szczegółów...

– Sława królowi Ar-Aras – odpowiedział, kłaniając się Nabu.

– Na zakończenie dodam jeszcze słów parę. Ty, wiesz, Nabu, że wolne kapłan Sar uważa za tło i nieszczęście i przekleństwo. Teraz jednak, gdy nasza linja obronna się chwieje, a hordy, najeźdźców zagrażają bytowi królestwa, należy wyteżyc wszystkie siły dla odparcia wroga od granic. Rezerwy stoją nienaruszone. Czteryście tysięcy ludzi czeka poza linią bojową na twoje rozkazy. Skończyłem.

– Proszę ze mną – odezwał się Wielki Inżynier Amur-At, podając dłoń Nabu.

I wyszli...

Nabu wiedział o tem dobrze, że na północ od miasta Asar rozpościerały się na ogromnej przestrzeni zakłady techniczne państwa Asarar. drugie potężne miasto, którego rozmiary przewyższały jeszcze wielkością czteromiljonową stolicę.

Wiedział o tem tak dobrze, jak i wszyscy widział nawet z bliska niektóre z obiektów wojskowych, nie interesował się jednak, jako wódz i żołnierz szczegółami technicznymi tych niezliczonych warsztatów. On czuwał nad armją a przede wszystkim nad jej sprawnością bojową, nad resztą czuwać mini rząd i Nabu nie pytał się nigdy, kto i jak

gospodarzy w tem królestwie sił kolosalnych i dziwów.

Teraz dopiero, gdy wraz z doświadczonym swoim przewodni kiem inżynierem Amar-Alt zagłębił się w tę krainę elektrycznych ciulów, oczy jego i mózg olśnił i przytłoczył ogrom tej pracującej ze straszliwą dokładnością maszyny.

Cała tajemnicza, prastara cywilizacja ludu Asaras rozwarła tu przed nim karty swojej arcymądrej księgi.

Skoro minęli łańcuch broniących dostępu do tego terytorium forty fikacyj wzniesionych na kształt ruchomych stożków pancernych o ścianach z najtwardszego aljażu metali, – a stanęli na dwudziestem czwartym piętrze baszty strażniczej gdzie uniosła ich winda, – oczom Nabu przedstawił się widok tak niesłychany i połów posępnej grozy, że wzdrygnął się dreszczem podziwu i hołdowniczego lęku.

– Miasto Olbrzymów

– Istotnie - powiedział inżynier. – Trudno określić to trafniejszym mianem.

--- Całe półkole horyzontu od zachodu, po najdalszy wschód było jednym morzem gmachów, niebotycznych budowli, wieżyc, walcowa tych zbiorników, słupów i kominów. W morzu tem coś drgało, dygotało, trzęsło się, jakby ustawiczne trzęsienie ziemi, targało skorupą globu. Jakieś rytmy potworne były w niem z przeraźliwą regularnością, jakieś grzmoty podziemne, gwiazdy i rozdzierające jęki trących o siebie metali.

Syk pary, hałas maszyn, łoskot kół rozpędowych i huk ustawicznych uderzeń dudniły w uszach wprost ogłuszająco.

Jakieś młoty i dźwignię podnosiły się i opadały na tle nieba. Czarne, kłęby sadzy buchały strugami w górę, nagle wytryskujące słupy ognia przerzynały to mroczne tło

purpurą, łuny olbrzymich pieców trwały tu i ówdzie nad horyzontem. Łyskały raz po raz błyskawice spięć na elektrycznych drutach, swąd czad nieznośny drażnił nozdrza ciężką, odurzającą wonią...

– Ależ tu oszaleć można – jęknął Nabu.

– Ale można się też przyzwyczaić – odkrzyknął Amar-Aat do ucha towarzysza aby być słyszonym poprzez hałas i turkot machin.

Ruszyli w głąb tego piekła po długim, stalowym moście na wysokości kilkudziesięciu długości ludzkich nad ziemią. Most drgał od huków i zdawało się, że lada chwila załamie się i runie pod nimi.

W dole uwijały się czarne sylwetki robotników.

– To jest zwyczajny dział maszyn, których wytwarzanie jest jak panu wiadomo, monopolem państwowym. Przejdźmy do ciekawszych obiektów – mówił inżynier.

We wszystkich kierunkach i na rozmaitych wysokościach biegły i rozgałęziały się krzyżujące się stalowe mosty.

Cały labirynt przejść powietrznych, wind, schodów i drabin.

Szli ciągle w głąb i w głąb – przed siebie.

– Tu są zakłady wojenne – objaśniał Amar-At.

Daleko wszcz i wzdłuż rozpościerały się budowle o imponujących rozmiarach. Wytwórnice katapult, których używały wojska Asaras, czyli wielkich proc elektrycznych wyrzucających pociski na odległość 30/ 50 kilometrów, wytwórnice tychże pocisków i broni ręcznej krótkiej i długiej. Wyrabiano tu straszliwe lufy na stożkach obrotowych, ciskające płomień i gazy i wrzącą wodę, wyrabiano owe niszczące maszyny wojenne, wyrzucające naraz tysiąc strzał stalowych, zakończonych cienko, jak igły, która spadając, siały śmierć i zniszczenie.

W długich na 1000 długości ludzkich halach stały

rzędami golowe już latawce jedno-, dwu- i czteroosobowe, które zrzucały z nieba w dół gazowe bomby.

--- Rezerwy – rzekł z uśmiechem inżynier.

Wskazał wodzowi mały dwuosobowy wózek elektryczny, który powiózł ich z błyskawiczną szybkością w kierunku zachodnim.

– Wytwórnice chemiczne najrozmaitszego rodzaju – wyliczał z kolei Amar-Alt, prosząc Nabu, by zapisywał sobie szybko podawane cyfry i szczegóły. – Chemiczne wytwarzanie pokarmów skondensowanych. Zwierciadła przenoszące obrazy na wielkich przestrzeniach. Teleskopy, Maski przociwmożne. Sztuczne oziębiacze powietrza.

Wóz pędził z chyżością najwyższą.

– Patrz pan! Oto filtry wody słonej, pompowanej z morza i sprowadzanej siecią rurociągów aż tutaj, Stąd czerpie kraj Asaros większa część zużywanej przez siebie wody słodkiej.

Szarosrebrzyste walce sterczały tutaj w długich szeregach, jak uszykowane wojsko, sięgając 8–10 pięter wysokości.

– Magazyn soli morskiej. Stacje radioaktywne. Spójrz pan uważnie. Nabu, bo to niezmiernie ciekawy widok.

Istotnie, wóz mijał co moment niebotyczne słupy stalowe, od których szczytów biegły promienisto ku ziemi druty.

Robiło to wrażenie jakiegoś potwornego, niezwykłego lasu...

Minęli kopalnie żelaza i kopalnie węgla, z których szufle wielkości domów piętrowych przenosiły bryły i stosy całe węgla, wrzucając je po przeciwnej stronie ogromnego placu wprost w czeluście buchających żarem, pieców.

--- Oto największe piece do ogrzewania atmosfery jakie

sobie wyobraźnia ludzka stworzyć mogła. Podobnych nie ujrzysz pan nigdzie na całej przestrzeni państwa Asaras, bo też ślą one energię ciepłą do wszystkich naszych miast i wiosek, skwierczących na mrozie nocnym. A tu dalej pola rurociągów gazowych. Znajdziesz pan tu tak sraszliwe ciśnienia, że z jednego takiego zbiornika otworzywszy klapę, możnaby zdmuchnąć cały pułk nieprzyjacielski...

Wóz nie zmniejszył ani na chwilę swej szybkości, pozostawił w tyle za sobą i tereny.

Wjechali teraz na puste równiny. Na wysokich słupach stały tutaj rzędami wklęsłe zwierciadła.

– Tu, panie wkraczamy w najwspanialszy dział zakładów technicznych królestwa w krainę elektryczności. Jak panu wiadome, państwo Asaras zużywa tyle energii elektrycznej, że znane panu sposoby jej otrzymywania musiały się okazać niewystarczające. Nasze elektryczne piece, elektryczne pociągi, elektryczne lampy i latarnie uliczne, elektrycznością pędzone maszyny, świdry kopalniane i świdry do wiercenia tuneli wszystko to ssie swój niewidzialny pokarm i naładowuje się tutaj w tem prawdziwem królestwie cudów.

Amar-Alt zatoczył szerokie pole ręką.

– Oto pole słoneczne, na którym zwierciadła wklęsłe chwytają w południe zabójcze dla nas promienie słońca, by je tam pod ziemią w specjalnie skonstruowanych przetwórnich zamienić na życiodajny prąd...

Przeraźliwy, ścinający krew w żyłach wrzask przerwał mu tok wyjaśnień.

– Co to? – zaniepokoił się Nabu.

– To robotnik... Porażenie wzroku wskutek nieostrożnego obchodzenia się ze zwierciadłem. Ale to nic. Jedźmy dalej... To „pole mrozów”, służące do chwytania nocnego chłodu, dla złagodzenia z jego pomocą żarów. Gdyby nie to

wszystko, ludność państwa Asaras cierpiałaby nie wiele mniej od ludzi z Kraju Kraterów a wegetacja roślinna i zbiory byłyby dziesięćkroć niksze. A tu wspaniałe tuby i wchłaniacze wiatrów, które przenoszą siłę zawiei aż do miast nad Morzem. Dżdżystem, powodując ochładzanie się atmosfery i wstrząsy powietrzne w czasie posuchy. To powoduje przynajmniej jakie takie opady atmosferyczne w okresach bezlitosnej suszy.

Nabu patrzył i patrzył i słuchał i uszom nie wierzył. Wyobrażenia nie miał nawet o potędze tego, co stworzyła stara, konająca cywilizacja inteligentnych ludów księżycy w swej tysiącwiekowej pracy i rozwoju.

– A tam na horyzoncie, w oddali ? ---zapytał.

– To są już zbyt skomplikowano rzeczy. byś ty je, panie, potrzebował zgłębiać i słyszeć. Tam znajduje się (ale ty, panie, nie zrozumiesz tego) czerpak energii z wulkanu Abra, oraz przyrzady spożytkowujące wstrząśnienia skorupy globu, zdarzające się u nas tak często (mówię tu o tych drobnych drganiach, nieszkodliwych dla siedzib ludzkich, bo większych od wielu już stuleci nie pamiętamy).

Dalej jeszcze owa sławna sonda w głąb globu, o której tyle legend krąży wśród ludu. Innym razem powiem ci coś o niej panie, bo widzę, że lekki zawrót głowy spowodowałem u ciebie tą przejażdżką po mechanicznem piekle.

Powiem tylko tyle jeszcze, że tam daleko na tych stepach ciągnących się aż do podnóża Gór Lodowych, znajdują się wielkie baterje elektryczne i niezliczona ilość zbiorników ze zgęszczonem powietrzem tzw. rozerwoary atmosferyczne, w których przodkowie nasi i współcześni będąc świadkami tragicznego ulatniania się atmosfery, zamykali potrzebne do oddychania połączenia tlenu i azotu, kradnąc je z powietrza na zapas.

– Ach, więc posiadamy takie rezerwuary?! To bardzo dobrze – wykrzyknął młody wódz.

– Więcej jeszcze. Od tego już miejsca począwszy aż pod Góry Lodowe i dalej, bo w ich wnętrzu cała przestrzeń przewiercona jest i poryła labiryntem tuneli i jaskiń podziemnych. Są to tak zwane hale schroniskowe z cylindrami zgęszczonego powietrza, zbudowane na wypadek zupełnego zaniku atmosfery na naszym globie...

– A ta góra na horyzoncie, bliższa nam od Gór Lodowych?

– To Góra Radu. Tam kopią nasi robotnicy rudę radową i ślą ją do Wytwórni radu, które widziałeś panie w mieście maszyn...

– Dziękuję, inżynierze Amar-At, za trudy. Przyznam się jednak, że i ja utrudziłem się przytem może więcej jeszcze. To bardziej męczące od marszu przez teren górski pod pociskami wroga.

Amar-Alt zaśmiał się.

– Trud opłacił się. Ma pan teraz przynajmniej pojęcie o gospodarce naszego sławnego królestwa. Przy pomocy inżynierów będziesz mógł w razie potrzeby poznać ją bliżej.

Elektryczny wóz niósł ich z szaloną szybkością z powrotem do Asar. Po drodze napotkali wysłany po nich latawiec, na którym odbyli resztę podróży.

Słońce prażyło już straszliwie, gdy około południa wylądowali w Asar.

Rozdział IV

WOJNA WŚRÓD GÓR.

Nabu wdział na siebie kostjum lotniczy z przyrządem do oddychania zgęszczonem powietrzem i zajął miejsce w dwuosobowym latawcu.

– Czy można jechać? – zapytał kierowniczy od motoru.

– Jazda!

Głuchy, stłumiony łoskot wybuch zmiażdżył mu uszy no chwilę. Potężna eksplozja rakiety cisnęła aparat prawie pionowo w górę na wysokość jakichś stu długości ludzkich.

Latawiec poruszył raz i drugi szerokimi piachami skrzydeł, zasyczał wprawiony w ruch motor i ptak sztuczny poszybował ze znakomitą szybkością wprost na południe. Skrzydła poruszały się miarowo i elastycznie w powietrzu, ostry dziób latawca wszywał się w przestrzeń iglicą.

Niegdyś konstruowanie latawców na księżycu było niezmiernie łatwą rzeczą i parędziesiąt tysięcy lat temu ludzie posiadali już doskonale tę umiejętność. Ale gdy wody poczęły znikać, a atmosfera rozrzedzać i ulatniać, zaszła konieczność ciągłego ulepszenia konstrukcji i dostosowania się do wciąż pogarszających się warunków.

Wprawdzie ptaki, na wzór których budowano te latawce, nie wszystkie ginęły i dogorywały na skutek tych smutnych zmian w atmosferze. Niektóre niezwyrodniałe młode i mocne gatunki dostosowywały się do nich, ustawicznie przebudowując swój organizm, rozszerzając drogi oddechowe i zwiększając siłę i prędkość uderzeń skrzydeł podczas lotu.

Ale niestety sztuczne latawce ludzi, to nic tworzy żyjące i dlatego nie one same, lecz ich budowniczy pomyśleć

musieli o ulepszeniach konstrukcji. Zmieniono kształt aparatów, wydłużając je i zaopatrując w ostry dziób stalowy, przerywający powietrze. Prędkość i siłę uderzeń skrzydeł spotęgowano równie jak to uczyniły ptaki i zwiększono ich powierzchnię. Obecnie latawce i rozwój całej powietrznej żeglugi w państwie Asaras doszły do zenitu.

Nabu spojrział na dół przez szybkę w dnie aparatu.

Powierzchnia globu opadała ciągle jeszcze w dół, przesuwając się pod nim, jak ciągnięty wstecz rękami olbrzymów dywan.

Ogromna stolica Asar – nieregularny wielobok o mnóstwie chaotycznie napiętrzonych brył geometrycznych, bodący niebo tysiącem wież, kominów, słupów i stożków świątyń – oddalała się i zapadała za horyzont, jak człowiek, który pchnięty w pierś nieubłaganą przemocą, zatacza się i cofa niezgrabnie w tył, usiłując zahamować upadek.

Białe, błyszczące w słońcu łańcuchy dwudziestopiętrowych domów Centralnej Dzielnicy malały do rozmiarów sznurów drogich kamieni, skrząc tylko szkłem płaskich dachów. Podłużne, ociążałe, bezwładne pudła dworców odjazdowych i wjazdowych przyplaszczały się wstydliwie, jakby się chciały zapaść pod ziemię.

Po chwili już tylko parę znaczniejszych i bardziej charakterystycznych bryłek kłuło jeszcze swą widzialnością siatkówkę oka. Były to: Świątynia Słońca, ze swą złotokryształową kopułą, wysyłającą w przestrzeń blask taki, że aż raził wzrok – pałac królewski na wzgórzu z niebotyczną wieżą astronomicznego obserwatorium króla Ar-Arasa – i pałac kapłana Sar w zielonej plamie oprawnej ogrodów połyskujący, jak wpięty w poduszkę klejnot.

* * *

Latawiec unosił się teraz nad bezbrzeżną, płaską równiną, niegdyś dnem Dżdżystego Morza, które wysychając, cofnęło się DO swego obecnego basenu. Przecinały je wzdłuż nieregularne białe i szare pasma formacji kredowych, pozbawionych wegetacji roślinnej, osiadła na nich owa cienka, życiodajna warstwa gleby żyznej. Pomędzy temi wstęgami barwy jasnej rozpościerały się wielkie ciemnobrunatno piaty ziemi uprawnej, upstrzone niezliczonymi mnóstwem maleńkich białych kropek. - To domki rolników uprawiających te najżyźniejsze, najobficiej nawodnione obszary. Domki te tu i ówdzie skupiały się gęsto, zlewając się nieomal w duże jasne plamy. Były to sioła przecięło kreskami dróg wyłożonych popielatym kamieniem górskim. Gdzie-niegdzie dostrzegało wprawne oko z tej wysokości nawet zbiorowiska ciemnych punkcików, posuwających się wzdłuż gościńców i rozsypujących po polnych obszarach równiny. Większe – były to pojazdy elektryczne i wozy wieśniaków, mniejsze – to ludzie, powracający od pracy, by osłonić ciało przed straszliwym żarem południa, który poczynał coraz płomienniej ziać z niebios.

O tej porze dnia zamykano już z pośpiechem hermetycznie studnie wody i zasuwno szczelnie wieka nad szczelinami kanałów, którymi poprzecinana była równina. Słońce wypiłoby w jednej chwili te ożywcze stłumienie, dające ludziom księżycą ów cudowny element nasycający wilgocią ich pola i kojący ich pragnienie – wodę.

Poczynały funkcjonować ochładzacz atmosfery, stojące wzdłuż dróg, we wsiach i na polach. Potężne tuby otwierane mechanicznie pod niesłychanym ciśnieniem wyrzucały w przestrzeń huczące dmuchy wiatrów

sztucznych. Cała Równina Pionów, aż po dalekie majaczące w sieni doli Morze Dżdżyste przedstawiała teraz niesłychanie ciekawe widowisko.

Tak jak w porze nocnych mrozów cała energia ludzka koncentrowała się w szalonym, niewiarygodnym wprost wysiłku walki z morderczą utratą ciepła, tak teraz na odwrót w południe geniusz człowieka i cały jego wzniesiony pracą stuleci aparat pomocniczych środków wysiłał się, by złagodzić ten katastrofalny żar wypijający z powierzchni globu wodę i życie.

Zwierciadła porozrzucane tu i ówdzie po równinie chwytaly promienie słoneczne, aby choć część żaru ukraść słońcu i przenieść podziemnymi przewodami do zbiorników ciepła u stóp Gór Lodowych. Ziemia oddychała ciężko jak spraców piersi otworami owych tub wichrowych dmuchających w misę rozpalonej krainy, jak olbrzymie usta. Tu i ówdzie wybuchały z ziemi nagle z rozdzierającym gwizdem słupy mroźnego powietrza.

Latawiec, mimo wysokości 1.500 długości ludzkich nad ziemią, drgał i kołysał się w prawo i lewo od tych powietrznych prądów, przedmuchów i wstrząsów.

Była dopiero piąta godzina *) księżycowa, a upał dojść miał do zenitu dopiero około siódmej.

– Ależ gorąco – stęknął Nabu i otworzył jedną kłapę prawego, ochładzacza. Z miłym sykiem wydostawać się zeń poczęła zimna struga powietrza, a Nabu wdychał ją z rozkoszą, przytykając prawie do otworu usta.

Zapuścił gęste tkaniny na prawej i lewej ścianie aparatu. Zrobiło się chłodniej i ciemniej we wnętrzu...

*) 1 godzina księżycowa = przeszło 1 dobę ziemską.

Wojna trwała już tak długo, a granicę królestwa Asaras tak nieprzerwanie zagrożone były najazdami górali i barbarzyńców, że praca lat długich pobudowała tu wszelkie potrzebne dla podtrzymania intensywnej obrony zakłady techniczne.

Cała Puszcza Djas pocięta była wzdłuż i wszerz rowami i dla utrudnienia nieprzyjacielowi pochodu. Pod ziemią pozakładano nitroglicerynowe naboje połączone przewodami z główną kwaterę, min elektrycznych. Gdzieniegdzie szczyrzyły lufy straszliwe katapulty elektryczne, broniące fortyfikacji ziemnych.

W miarę, jak Nabu na swoim sztucznym ptaku zbliżał się do kolosalnych masywów i stromych stoków Gór Urwistych, które dźwigały się przed nim i poza horyzontu w całej, grozie – ilość obiektów wojskowych wciąż się zwiększała. Na wielkim Zielonym Szlaku, ciągnącym się aż do stóp gór, odpoczywały maszerujące kolumny.

Latawiec sunął wprost na ścianę góralskiego łańcucha i obszerną bramą pomiędzy dwoma stożkami turni wjechał w królestwo krwawej, niszczącej wojny wśród gór.

Lekki powiew wiatru przynosił echa grzmotów elektrycznych proc armji Asaras.

--- Raz...

Runął purpurowy blask i pocisk elektrycznej procy poszybował w dal z gwizdem.

– Dwa

Drugi płomień. Nabój piroksylinowy zachichotał przeraźliwie i gorzko gdzieś ponad studniami rozpadlin.

– Trzy... cztery...

Bum, bum... głucho, przejmujące grzmoty, od których krew zbiega się do serca i zatykają się drogi oddechowe...

Nabu komenderował spokojnie ustami przy otworze aparatu przewodzącego głos ludzki – stalowa tuba

umieszczona tuż nad głowami żołnierzy, powtarzała donośnie te rozkazy.

Gdzieś, daleko, hen z pomiędzy turni i zakłęśłości skalnych jęknął tępy odzew czterech wybuchów, Góry Urwiste odszczeknęły kilkakrotnem echem...

Krwawe słońce ginęło już za szczęką prostopadłych głazów granitowych na zachodzie i podłużne, boleśnie ponuro cienie zjechały, jak czarne lawiny ze szczytów, pchając się coraz brutalniej w doły i prac zaciekle na przeciwległe ściany skalne.

Wylot rozpadliny I. 12 zatonął na chwilę w dziwnym, niesamowitym pomarańczowym blasku, który zwolna mętniał i odbarwiał się, ustępując miejsca gęstej, nasyconej czerni. Przerazająco zamigotały w tej poświacie cztery sterzące z pomiędzy głazów stalowe rury proc elektrycznych, zionące otworami o średnicy 2 długości ludzkich.

Nabu w kwaterze swojej, małej kabinie wszczepionej pomiędzy zęby skalne, kreślił coś szybko na mapie Gór Urwistych, stojąc przed wylotem wielkiej lunety.

Obok niego niski, krępy mężczyzna o przeszywającym spojrzeniu, notował sobie jego słowa, wyrzucane z piersi krótkim, urywanym półgłosom.

– Przesunąć dwanaście proc kalibru 1.2 długości człowieka o 8 keml na zachód na stok Góry Białej. Stamtąd doskonały obstrzał kotła górskiego liczba 7. Można bić na krótki dystans i nie zasłaniają go turnie Granitowe przed niskim kątem rzutu. Trzeba też posłać patrol w dół, w Otchłań Martwą, bo wszystko wskazuje na to, że usadowili się tam barbarzyńcy.

– Rozkazałeś wodzu – rzekł krępy człowiek i wyszedł.

Nabu zatoczył się i chwiejnym krokiem powłókł się do aparatu przewodzącego głos. Krew pulsowała mu w

skroniach z przykrym szelestem, nieustanny szum dzwonił w uszach, muskuły odmawiały posłuszeństwa.

Szalone, obezwładniające znużenie tłoczy go, i gnę ku ziemi, jak ciężar skalnej bryły.

– Usnąć, usnąć na chwilę – szepce sam do siebie.

Po czterech dobach tych nieludzkich męczarni górskiej wojny, czuje się Nabu zdruzgotanym doszczętnie. Bezsenne noce, wśród marszów i uciążliwych pielgrzymek po skalach, mróz gryzący, drapiący, bezlitosny i upał dzienny dokuczliwy i kłujący nerwy, jakby tysiącami igiełek. A nade wszystko ta przeklęta rzadkość atmosfery, która na tych wysokościach staje się zabójcza. Po prostu głowa pęka i mózg jakaś szarpanina rozsadza, oczy wylażą na wierzch z udreki, a z nosa i uszu zdaje się jakby już lada chwila krew wytrysnąć miała.

Mieszczuchom państwa Asaras wydawać się to może przesada. Istotnie tu w kabinie przy doprowadzonych zbiornikach zgęszczonego powietrza jest to lżejsze do zniesienia, ale spróbuj no kto tylko wyrzeć na dwór i powariować przy katapultach, albo iść na wywiady. Mimo masek przeciwmroźnych, mimo rezerwuarów powietrza na piersiach ta okropna, rozpaczliwa służba żołnierska jest piekłem.

– Odzwy...czai...łem się - jąka Nabu. – Ci przekłenci górnicy z Gór Urwistych mają chyba jakieś nieludzkie płuca i organizm, skoro mogą się obejść bez masek i zbiorników.

Wzrok jego padł na maleńki wizerunek Elen na ścianie kabiny... Rozrzewnił się...

– Elen. Słodka, ciepła Elen. Ty biały, świetlany płomyku, czy miłujesz mnie jeszcze?

Zachwiał się, a przed oczyma zapłonęły mu purpurowe płaty... Huk w głowie...

--- Cóż to? Aha, sen. Tak, to senność mnie bierze.

Aparat głosowy zabrzączał.

– Co? – zapytał Nabu. – Tak? Zmieniają. pozycję?
Proszę podać cyfry.

Z obserwatora na Białej Górze dawano znać o ruchach barbarzyńców.

Nabu zabrzączał aparatem do baterji proc liczba 12.

– Szerokość...długość... – podawał szybko cyfry.

– Już...

– Strzelanie.

– Gotów !...

– Raz... dwa... trzy...cztery - komenderował Nabu.

Tępe grzmoty przewalały się po górach jak uderzenia zawiei.

I znowu:

– Raz, dwa, trzy, cztery...

Bateria I.12 biła raz po raz w piorunującym tempie w gromadzące się poza turniami granitowemi kolumny wroga.

Wtem bliski huk wybuchu wstrząsnął ścianami kabiny. Górale, zaopatrzeni również w elektryczne proce, odpowiadali. Na to hasło we wszystkich dalszych i bliższych punktach linii bojowej odezwały się potężne stękania katapult. Pojedynczo i po dwie i calnemi salwami naraz waliły, jak opętane, potworne proce. W głuszy nocnej stokrotne echo tarzało się po szczytach, ciskało się w kotły skalne i przepaści, staczało po stokach w doliny.

Równocześnie zbudził się gorączkowy gruchot proc długich i krótkich piechoty. Góry poczęły ziać ogniom i gejzerami gazów. Wytryskujące jęzory wrzącej wody poleciały z piskliwym zgrzytem łukami po niebie.

Ze żlebu I. 25 parsknął naraz miotacz strzał stalowych i natychmiast powietrze zaniósł się przerażającym grzechotliwym świstem tysiąca przeszywających atmosferę

igieł ognistych. Ż o ciężalym hałasom przekozłował ton zgiełk obrzydliwy nad łańcuchem turni i zapadł gdzieś w czarną dalekość.

Aparat głosowy grzechotał i brzęczał i krztusił się gorączkową szamotaniną spieszonych rozmów.

Nubu odpowiadał, całkiem już rozbudzony i ożywiony szalem boju. Porwała go nagła wściekłość na tych czarnych, plugawych bezceńców, zakłócających spokój jogo ojczyzny. Miotał rozkazy do najodleglejszych stanowisk, zwiększając wciąż natężenie ogniem.

Gruchnęła gdzieś blisko donośna salwa.

Spojrzał przez okienko i zdziwił się na widok dwunastu błysków na stokach Góry Białej.

Tak prędko dostał się tam Pir-Amet?!

Dwanaście proc na Górze Białej, aż zachłystywało się strzelaniną, piorąc wprost pod małym kątem w czeluść Doliny Złomów, nieosłonionej już w tym miejscu przez Granitowe Turnie.

Olbrzymie pasy rażąco białych światel cisnął Pir-Amet snopem w tą dolinę z wyniosłości swojego stanowiska i odkrył silne skupienia nieprzyjacielskie, pełnące kolumnami ku wrotom w Bruzdę Graniczną, na której krawędziach i stokach usadowiły się naprzeciw walczące ludy Księżyca. Część tych kolumn przelała się już przez skalne wrota i zstępowała w Bruzdę, gdy plunęły w nią katapulty Pir-Ameta.

Przez okna kabiny widział Nabu. Jak na dłoni w kręgach smug świetlnych czerwone wytryski kurzawy w środku tych posuwających się oddziałów. Po raz drugi parsknął miotacz strzał ze żlebu I. 25 i posłał okrutnie celnie swój morderczy ładunek.

Z dołu, od Bruzdy Granicznej silny powiew wiatru przyniósł w tej chwili rozdzierający, chargotliwy wrzask i

gromady barbarzyńców poszły w rozsypkę. Jednocześnie drugi jęk targnął powietrzem od strony Otchłani Martwej, bo rojące się w jej głębi oddziały górali, gotujących się do swoich zwinnych, szturmowych biegów, stoczyła się z chrzęstem duża, fosforyczna kula, wydzielająca światło błękitne i pękła wśród nich, rozsnuwając nad Otchłanią Martwą białawo-szarą chmurę gazów.

Kanonada ustała. Wróg nie odezwał się już przez całą noc księżycową a znużony śmiertelnie Nabu, mógł wreszcie rzucić się na posłanie i spać, spać bez końca.

Drugiego dnia o świcie zbudził go Pir-Amet doniesieniem, że barbarzyńcy cofają się. Potwierdzili tę wieść dwaj schwytani przez wywiadowców ludzie z Kraju Kraterów. Nabu kazał ich wprowadzić.

Byli to drobni, skarłowaciai mężczyźni o brązowych twarzach, o mocno wysuniętych naprzód szczękach i na półsensnych oczach zwierząt. Ich klatki piersiowo zajmowały trzecią część ciała, przystosowując się do rozrzedzonej atmosfery.

Głuchem, nosowem mruknięciem potwierdzili wieść o cofaniu się wroga...

Wywiadowcy sprawdzili, że cały łańcuch górski przed armją Asaras był opróżniony przez nieprzyjacielskie oddziały, wobec czego należało pchnąć linię bojową naprzód.

Równocześnie ze wschodem słońca pułki wojsk księżycowych popłynęły kierunku odstępujących barbarzyńców. Ściągano ze stanowisk proce elektryczne, miotacze strzał stalowych i ciskacze płynnego ogniu. Małe, lecz silne koty górskie, Bassarong, poniosły na grzbietach materiał techniczny. Latawce zaszumiały w powietrzu.

Nastąpił najuciążliwszy moment wojny księżycowej – marsz, który, czy wstecz, czy naprzód, zawsze jednakową

straszna był męczarnią.

Żołnierze mieli prawie czarne od słońca twarze.

Rozdział V.

RYWALE NABU.

Kwiat Azar ocknął się ze snu...

Pierwsze promienie słońca, bladozłoty świt wdzierając się przez mechanicznie rozsuwające się zasłony ścian szklanych w komnatę, załaskotał koniuszki jej nerwów.

Kwiat Azar śpiący w kryształowym wazonie pod baldachimem bogatych tkanin, zasyczał cichutko, wciągając powietrze wargami stulonych płatków. Myszosiwowłose, ciemno-zielone ochraniacze listków, obwijające szczelnie wrażliwego króla roślin, drgnęły najpierw i odprężyć się poczęły na zewnątrz. Wtedy błysnął z pomiędzy nich przedziwny przepych wnętrza. Bładoseledynowa skóra zewnętrznych płatków zamigotała świetlanym połyskiem i przez rozchylający się róża tym pyszczkiem otwór odmykającego się pęku, chuchnął w górę słup niesłychanie delikatnego zapachu, którego czar i słodycz nie dały się, wprost z niczem porównać.

Po szklanej posadzce oranżerji zaś szemrały puszyste kroki kobiecych stópek.

To świeża, promieniejąca Elen, gwiazda wśród dziewic, biegła, jak co dzień z radosno-tkliwym pozdrowieniem dla kwiatów, po orzeźwiającej po długim, ociężałym śnie kąpieli. Jej niesłychanie piękny, smukły kształt dziewczęcy przegądał nieśmiało przez srebrzystą, powiewną tkaninę porannej szaty. Koniuszki piersi, nabrzmiałe od gorącej pieśczoły wschodzącego słońca, śmiałym różem błyszcząły na tle złotawo-bladej skóry oblubienicy Nabu.

– Witaj mi królu Azar!

– Wody – wysnuł się ledwo dosłyszalny szept z

korony kwiatu.

Z kryształowego rozpylacza w Elen trysnął deszcz wody na wazon i rozkwitającą roślinę...

--- Pij ty cudne, słodkie stworzenie.

Wówczas kwiat Azar zatrzęsł się całym jakimś niesamowitym, nerwowym dreszczem i jakby westchnienie ulgi i rozkoszy wydobyło się z jego wnętrza jak za dotknięciem ręki cudotwórcy rozkwitł, rozpromienił się, rozszalał ekstatyczną pleśnią barw, rozdygotał wszcz i wzdłuż tremollandem dźwięcznych, chromatycznie wzbierających szmerów, cieniutkie włosienie, rozciągnął, jak struna w płucach kwiatu, zagrały przedziwnym pasażem ćwierć, pół i całych tonów od najgłębszych, o niskim brzmieniu dźwięków, przechodząc zwolna do jasnego, pieściwego wiolinu. Drobne żyłki na liściach i płatkach zapulsowały sokiem krwi roślinnej w takt uderzeń zielonego serduszka u nasady korony kwiatu. Fala za falą płynęły miękka i zawrotnie coraz słodsze, coraz drażliwsze, coraz bardziej niespodziane zapachy. Cała gama tych przesubtelnych, przejrzystych, oparów wonnych zaśpiewała w nozdrzach Elen, budząc w jej myślach i całym systemie nerwowym perwersyjne drgania nieokreślonych dreszczów, olśnień i radosnych zdziwień.

Narkotyk kwiatu Azar odurzał ją i powlekał jej zrenicę mgłą kołyszącego rozmarzenia.

Król roślin w podnieceniu miłosnem wydychał z siebie cały wonny czar swojej jaźni, całą tęczę barw kuszących i rozpląsanych roztaczał jak płaszcz królewski i grał najwyższym, wytężonym wiolinem upojnego zachwyty.

– Kocham ciebie – szemrał, poruszając leciutko ostrym, różowym językiem, pokrytym siateczką najwrażliwszych nerwów.

Elen uśmiechnęła się i nachyliła ku koronie kwiatu.

Cienki język wysunął się łakomie i przebiegł po wargach Elen straszliwie niesamowitą pieszczotą, od której oddech jej zatrzymał się, serce bić przestało, a dreszcz osunął się, jak wąż po ljanie wzdłuż jej pacierzowego stosu.

Poczuta, że słabnie. Nozdrza jej upajał ciężki, duszny, oszalamiający zapach, wywołujący w mózgu i całym ciele dziwną, boleśnie rozkoszną omdlałość, świat zawirował jej przed oczyma...

– Azar, nie... Nie trzeba...

Oderwała usta od kwiatu.

– Co ja czynię – jęła – Nabu, nie gniewaj się, wróć do mnie.

Kwiat Azar zrozumiał bieg jej myśli.

Na dzień kwiatu odchyliła się mata, żółta powleka, a z pomiędzy rzęs jej skupionym, przemądrym blaskiem roz błysło jego czarująco, błękitne, jedno jedyne... oko...

Wpatrzył się w nią uważnie.

Elen przeraziła się. Azar nigdy jeszcze nie otwierał przed nią całkiem oka, ale wiedziała z ksiąg o roślinach, że oko kwiatu Azar posiada dziwną, przemożną moc... hypnozy.

Zamknęła oczy i poczęła się cofać wolno w tył, krok za krokiem, aż dłonie jej wyciągnięte dotknęły szklanej szyby.

Wtedy otworzyła oczy i dyszała ciężko.

– Nie, Nabu – wyszeptwała, – Nie, najdroższy! Mojego kwiatu Azar całować już nie będę...

Wokół niej iskrzyła, jarzyła się, szalała orgją barw wspaniała oranżeria. Delikatne, wybijające rośliny międzyzwrotnikowe, których wegetacja tam już dawno zamarła, tutaj przeniesiona do szklanych komnat w domach ludu Asaras. ogrzewana sztucznym ciepłem, pod promieniami sztucznych, płomiennych słońc w kopolach cieplarni, żyło dalej swoim przerafinowanym, skomplikowa-

nym kulturą niezliczonych wieków bytem.

Umiejętne ręce ogrodniczek, bo mężczyźni nie znosiły te wrażliwe, kapryśne rośliny. Ich troskliwa i miłująca opieka stwarzała cuda w tym królestwie rozdygotanych, syczących nerwów roślinnych.

Elen wiedziała, że kwiat Azar, mądry i dumny król roślin, jest zmysłowy i dysze pożądaniem kobiet. Wiedziała, że wiele dziewcząt z możliwych rodów Asaras z kwiatem Azor potajemnie zażywa pieśczęty. Przeleżała się. Nigdy jeszcze, dotykając kwiatu, nie odczuła tej szalonej, gorącej atmosfery miłosnej, która oszołomiła ją teraz tak zawrotnie i omal nie oddała w moc tej Obcej, rozpalonej inteligencji.

Elen spojrzała dokoła.

Oko kwiat Lir-Sang o tarczy wypukłej, pokrytej, mnóstwem zaostrzonych na końcu, jak igielki pręcików. Cudowny, mieniący się pięciobarwą ogon włókien, zwisał aż ku ziemi z wazonu.

Oto Armut-Biskr, mały, ruchliwy kłębek, mrugający mnóstwem oczek, biegających wciąż, jak żywe srebro.

Oto Imu-Klong-As, dziwak i złośnik wrażliwy na bliskość mężczyźni tak szalenie, że w obecności ich trząsał się, żółkniał z pasji i skomlał...

A każdy o innym zapachu, każdy innymi odcieniami farb się pysznił, każdy, miał inne upodobania, wstręty i kaprysy. Oko upajało się tą różnorodnością kalejdoskopowych obrazów.

— Aaa! — jęknął przeraźliwie w głębi cieplarni kwiat Azar. Był to krzyk tak straszny, przejmujący i zgrzytliwy, że Elen zbladła ze zgrozy...

Pobiegła ku niemu.

To roślina Tillikut, wściekły, złośliwy drapieżca świata roślinnego, rozdrażniona zapachem Azar, wypęzła z siatki,

w której trzymano ją, jak w klatce i owinęła jego łodygę siedmiorgiem macek.

Kwiat Azar skomlał i przeginał się w męczarni, trzępiąc płatkami i liśćmi, a z wnętrza jego kwilił wciąż ten przykry, żaloszny, jakby miauczający lament. Elen odrywać poczęła z wysiłkiem twarde, sprężone macki kwiatu Titiukut od torturowanego króla, nie zważając na jadowite ukłucia białych żadeł. Ale Titlikut syczał zjadliwie wczepiony mocno w skórę łodygi Azor i wysysał z niej zieloną krew roślinną łapczywie i bez przerwy.

– Na pomoc! – zawołała Elen. – Na pomoc!

Na krzyk jej, niski, szczupły mężczyzna wpadł do cieplarni.

– Co się stało, słodka Elen? – zapytał, a widząc walkę jej ze złym kwiatem, pośpieszył jej z pomocą. Począł kłuć wąską iglicą sztyletu sztywne macki, które wnet opadły i rozluźniły się, uwalniając kwiat Azar z zabójczych uścisków. Titlikut uciekł z powrotem do swej klatki.

Elen klasnęła w dłoń. Zjawiała się mała ogrodniczka.

– Arami, napraw tę siatkę. Titlikut wy dostał się z niej przed chwilą...

Ogrodniczka skinęła ciemnowłosą główką, a Elen spojrziała chłodno na stojącego przed nią mężczyznę.

– Dziękuję ci, Amir-lbo...

Przeniosła wzrok na cieplarnie.

Głuchy, złowieszczy szmer wydobywał się z kłębow kolorowych stworzeń. Korony, łodygi i warkocze włókien naprężyły się i jak wzburzony, wściekły las stanęły sztywnymi słupami w górę.

– Wyjdźmy stąd – rzekła pośpiesznie. – Kwiaty gniewają się na mężczyznę.

Wyszli, a pomruk kwiatów gonił ich jeszcze chwilę.

– Do ojca? – zapytała nieuprzejmie.

– Raczej do ciebie, Elen – skłonił się.

– Do mnie? Po cóż do mnie? Na cóż ja ci jestem potrzebna?

Zaśmiał się nerwowo.

Stali na marmurowym krużganku. Słońce paliło twarze. Ciało Elen przeświecało przez poranną tkaninę wyraźnie. Ześlizgął się po nim szybko pożądliwy wzrok mężczyzny.

– Elen, męczę się – szepnął.

Amir-Riwi był synem króla Ar-Azas.

A raczej jogo wyrodnym synem...

Zły, mściwy, podstępny i tchórzliwy był typem zbrodźcy i degenerata, tak często pojawiającym się wśród zmurszałego, starego istnienia i kulturą ludu Asaras. Prześladował on swoją miłością

Elen, która pałała ku niemu niechęcią *i* odrazą.

--- Przechodząc obok oranżerii, usłyszałem twój krzyk, Elen. To ośmieliło mnie do wejścia w twoje komnaty...

--- To było niepotrzebne. Dopomogła by mi Arami.

– Uprzejma jesteś.

– Wolałabym być sama.

Napotkała jego wzrok łakomy, wzrok bezczelnego hulaki, włóczęgi po szlaku najdzikszych wybryków i zbrodni.

Spojrzała po sobie i nagły wstyd spalił jej twarzyczkę czarodziejskim rumieńcem...

– Przecież ja jestem nieubrana. Muszę odejść – przeraziła się.

– Amir-Kiwi, żegnam ciebie. Idę się przebrać.

Zerwała się, odbiegając skwapliwie, syknął.

--- Stój! - syknął

Zachamował ją tym rozkazem.

--- Czego chcesz jeszcze? Nie męcz mnie. Idź w Góry Urwiste walczyć, ty tchórzku!

Syn króla jednym skokiem był przy niej.

--- Elen, ty, zdaje się, nie znasz mnie jeszcze bliżej. Radzę tylko i ostrzegam, mnie nie trzeba drażnić. Mój gniew czasem bywa strasznie nieprzyjemny dla tych, którzy go wywołali.

Pienił się.

--- Wiem, ty kapłańska córko, wiem o tem, że kochasz Nabu. Ale ja pragnę ciebie i twój ciemnoskóry żołnierz nie dostanie ciebie w łóżko swoje. Moja będziesz, choćbym miał z tego nietykalnego domu przemocą zabrać ciebie.

Drżące dłonie dotknęły jej piersi, ześlizgując się po ciele, aż na biodra.

– Precz! – krzyknęła Elen. – Precz, ty zwierzu!

Ale Amir-Kiwi zdusił jej usta wściekłym, gryzącym pocałunkiem. Ramiona jego owinęły się jak węże wokół jej wysmukłej postaci.

– Nie rwij mi się, bo zabiję...-- zasyczał i cisnął ją do siebie coraz gwałtowniej i przeginając przez balustradę. Chciwe wargi wpiły się w jej ciało, rzucając się drapieżnie na twarz jej szyję i piersi.

Ale syn królewski, zwyrodniały Amir- Kiwi, nie był mocnym mężczyzną.

Jeden ruch i Elen wychyłała się z jego objęć ze zwinnością górskiego kota. Pchnięcie w pierś -- i oto oszalały i ślepy z żądzы łotr traci równowagę.

– Och!

Jęknął i przewinął się bezwładnie przez balustradę krążanku... Spadł na dywan traw z wysokości trzech długości ludzkich i z trudem podnosił się z ziemi okaleczony i upokorzeniem pijany. Powłókł się ku furcie ogrodu, skulony z opuszczoną nisko na piersi głową.

Odwrócił się i pogroził pięścią Elen zanim zniknął.

Wzburzona dziewczyną płakała z twarzą ukrytą w

dłoniach na gładkiej poręczy balustrady. Z głębi długiego korytarza wyszedł stary, kapłan Sir i stając za nią, delikatnie pogładził ją po włosach.

– Elen, co tobie?

– Ojczy, Amir-Kiwi znieważył mnie w tej chwili...

– Znowu ten pasożyt bezwstydnny?

– Ojczy, ukarż go! - Pomścij swoją Elen, ukochany!

– To syn królewski, mój kwiecie maleńki. Dostojność jego rodu chroni go przed karą i różgą sprawiedliwości.

– Straciłam go, jak robaka z krużganku. Nie wpuszczaj go już tutaj, ojczy. Nie chcę go widzieć. On mnie prześladowuje i śmie całować moje usta, tchórz i złośliwiec, wtedy, gdy mój dobry, mężny Nabu, cierpi mróz i żar i niewygody w tej okropnej wojnie. Nie pozwól mu przychodzić tutaj, to obraża Nabu.

--- Dobrze, Elen. Brama mojego pałacu nie otworzy się przed nim już nigdy...

A Nabu, zczerniały od słońca, kurzem i potem okryty, wspinał się na niebotyczne przełęcze Rod Kassagaj, łapiąc pośpiesznie ustami powietrze,

Długie węże oddziałów wiły się krętą taśmą między kominami ostrych głazów, serpentyną pełzały ku wściekle powyginanym kabłakom wierzchołków, mijały okrężnie prostopadłe, czarne, ja sadza turnie. Straszliwy trud napinał mięśnie i ścięga, aż członki trzeszczały w stawach, w krwawej udręce obdarte ciała skowytały bólem okoleczonej skóry, rozpaczliwe łuki grzbietów dźwigały się rzędami ku urągliwemu niebu, o panicznie zadyszane piersi ze świstem łykały rozrzedzoną atmosferę.

Barbarzyńcy ustępowali ciągle...

Stojąc na szczytach i przełęczach górskich łańcuchów, widzieli wodzowie i żołnierze Asaras ciemne, niewyraźne chmary koczowników grzebiące się w dołach i bruzdach,

jak robaczliwe rojowiska.

Przednie straże prażyły w tą czerń nieprzeliczoną salwami proc ręcznych. Miotacze cieczy ognistej wypluwały swoje białe wstęgi, jakby zabójcze chlusty wrzących dzbanów. Katapulty ustawianie naprędce, wydmuchiwały z rur stalowych swoje okropne ładunki, poczem daleko, hen w dolinach, widziało się małe, grzmiące rozpryski wybuchów.

A gdy regularne kolumny zwycięskich armij spływały nieubłaganie w doły, prały znów ze szczytów przeciwnych ogniste salwy górali.

Bolesny, nieludzki móżół tych pochodów drgał w zwojach mózgow żołnierskich konwulsją obłądu...

Po wąskich, skalnych gankach, wzdłuż ścian stromych, nad mańconymi w głowie otchłaniami przepaści, przez igły pionowych wrót kamiennych przeszywały się nici armji.

Żar...

Słońce aż pęka z nadmiaru rozsadzających je płomieni. Zakopcone skwarem, spalone na żużel twarze, wysuszone, o zapadłych bruzdach pod policzkami, źrenice zasze mgłą znużenia i omdlałej apatii, żyły nabrzmiało, jak sznury na skroniach i szyjach.

Krajobraz dziki. Nagie czoła gór popękanych, jak skóra tych, którzy wdzierają się w ich pustkowia. Wysokogórska martwota, paszcze dziur skalnych ziejących wykrzywionem szaleństwem... Kamień rozżarzony niemal parzy podeszwy. Kurz osiada na twarzach, na obnażonych ramionach, na poszarpanej odzieży.

Jakieś potworne zziajane stękań rzeży i wzdychań nad tą pielgrzymką męczenników...

Mijają resztki sadyb ludzkich, szałas i chatki poprzyczepiane do skał, jak gniada ptasie. Tu i ówdzie długie słupy dymu sztywno wyprostowane w niebo. To

płoną wsie, których pożar zażęgła fanatyczna ręka górali...

Trupy...

Wszędzie, wyschnięte, jak mumje, czarne, na wpół
zwęglone trupy. W szklanych źrenicach zastygłe przera-
żenie...

– Wody, kropelki wody, chłodu, odpoczynku –
krzyczy lud zwycięski i wyje lud zwyciężonych.

A potem noc...

Czarno i czarno, przeraźliwie głucho. Światła lamp
niesionych przez żołnierzy błyszczą tak, iż zda się całe
długie sklepienie niebieskie ruszyło z posad i wędruje
przed siebie uparcie... Smugi ruchomych pasów świetlnych
przecinają ciemność, macając drogę i bród na tym Oceanie
głazów. Huk wybuchów, szybki oddech tysięcy, wrzask
spadających w przepastne otchłanie i bezsilny nie ludzki
lament rannych i chorych, porzuconych na pastwę mrozu.

Krzepną, lodowacieją ciała, ludzie zamarzają na
szczytach pod głazami, na galeriach skalnych,
pozawalanych nad bezdnem. Monotonne, płaczliwe wycie
psów górskich Gabu, dodaje grozy temu piekłu.

W górze nad głowami ziemia lśni trupim blaskiem,
bezlitosna, nieruchoma, szydercza...

Mróz, mróz, mróz poraża mózgi i lodem przenika do
kości...

Nabu kroczy na czele piechoty i zdaje mu się, że dawno
już zeskorupiał zeszywniał, zastygł w lodową bryłę... Tam
z tyłu za nim cierpną, drętwieją pułki całe w automatycznej
narkozie pochodu.

Marsz, marsz!

Naprzód! Król patrzy – lud Asaras czeka wieści o
zwycięstwie... Ziemi, srebrna ziemi! ucałuje chłodnemi
usty ciepłe, bielutkie czoło dziewczyny...

– Elen... czy wiesz, że ja żyję jeszcze?

A może myślisz, że zdechłem ze zdruzgotaną czaszką w czarnym wąwozie i mróz mnie skamienił w białe straszydła... i może płaczesz, Elen?

Nie płacz, nie płacz – ja przecie jeszcze żyję...

Ooo!

Pod szorstkim głazem łka żołnierz. Ma zgruchotane nogi i kona, a oczy zasły mu bielmem...Test dużo takich żołnierzy którzy konają w tej chwili...

Oto salwa... Stokrotne echo stuka i puka po dolinach. Tam daleko, wśród kamieni upadło wielu żołnierzy w tej chwili. Krew bucha z ich ran, ale zaraz krzepnie w lód,..

Jest wojna wśród gór, o na wojnie jest także twój Nabu...

Elen!..

Rozdział VI.

WIEDZA TAJEMNA DYNASTJI AZAS.

Aparat elektryczny u drzwi zadzwonił nieśmiało.

– Kto? – zapytał Ar-Azas, nie podnosząc głowy z nad stołu. Z mrówczą pracowitością przeglądał przesłane mu z obserwatorium w Górach Lodowych fotografie nieba.

Wbiegła Elen.

– To ty, złotowłose dziecko? – uśmiechnął się dostojny starzec. – Chodź, podejdź bliżej, mam ci dziś wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia...

– Może to źle, panie, że przerywam ci żmudną pracę?

– Nie szkodzi. Odetchnę, wypocznę na chwilę. Oczy moje znużyły się bardzo...

Elen ośmielona i upewniona, że jej obecność nie jest ciężarem i przeszkodą w badaniach królewskiego mędrca, usiadła obok na niskim taburecie.

– Co to? – zaciekawiała się, spoglądając pytająco na stos świeżo wywołanych zdjęć, w których zatapiał się Ar-Azas przed chwilą.

– To z obserwatorium Abil-Beg z Gór Lodowych. Niesłychanie ciekawe zdjęcia. Eksponowane dłużej jeszcze od moich ostatnich fotografii z przed dni dwunastu i to przy bezwzględnie czystym powietrzu. Warunki atmosferyczne, przy obserwacjach są tam w Górach Lodowych wprost idealne nie mówię już o chmurach, bo tych, nie napotyka się już dzisiaj w okresie gwałtownego, ulatniania się atmosfery, ale żadnych zmian, żadnych zagęszczeń nawet... Dzięki temu dostają tam takie klisze, jak te, które, tu widzisz Elen...

Rozentuzjzmował się nagle.

– Mgławica Orosz! *) – zawołał, biorąc do ręki jedną z fotografii.

– Takiego powiększenia i tak wyraźnego zdjęcia nie mieliśmy dotąd jeszcze. Nie wiem czy pamiętasz, Elen, co mówiłem ci kiedyś o tej mgławicy: Mgławica gwiazdowa Grosz, która dostrzeżono po raz pierwszy 27000 lat **) temu na księżycu w obserwatorium królewski oni w starym mieście Dur u stóp Gór Urwistych. Jak wiesz, u dawnych mieszkańców naszej krainy na wiele, wiele tysięcy lat przed założeniem królestwa Asaras astronomja stała niezmiernie wysoko. Im to, uczonym ludu Sarawasza zawdzięczamy olbrzymią spuściznę naukową, z której źródeł i wskazówek czerpali uczeni ludu Asaras...

*) W nomenklaturze ziemskiej mgławica Andromedy.

**) Rok księżycowy 365 dni ziemskich, a 12 księżycowych. Księżyc obiega słońce w tym samym czasie, co ziemia.

Otóż genialny astronom Manazes 26312 lat temu na mocy analizy widmowej odkrył, że mgławica Orasz należy do mgławic o widmie ciągłym czyli składa się nie z żarzących się gazów, lecz z gwiazd skupionych tak gęsto, że widzieć ich nie można. Ponieważ mgławica Orosz, jak i inne mgławice gwiazdowe nie leży w Drodze Mlecznej, ponieważ w tej okolicy nieba mniejsza gęstość gwiazd wskazuje na to, że nasz układ, gwiazdowy nie sięga tu w głąb dalej niż parę tysięcy lat światła **), Manazes wysnuł z tego odkrycia następujący wniosek. Nierozdzielność tego zbiorowiska gwiazdowego świadczy o olbrzymiej jego odległości, musi to więc być nowy układ gwiazdowy,

podobny naszemu układowi Drogi Mlecznej, leżącej daleko, daleko, poza jego granicami. Odległość ta wskazuje na to, że musi on mieć rozmiary zbliżone do rozmiarów naszego układu, skupiając w sobie nowe miliardy słońc, równo licznych, jak słońca Mlecznej Drogi...

Elen słuchała spokojnie i uważnie. Król Ar-Azas od dawna już był jej mistrzem, i za poznawał ją z cudowną głębią wiedzy. Pojętność jej zachwyciła mędrca i pozwalał jej przysłuchiwać się tajnym zebraniom uczonych księżycy, na których omawiano rzeczy tak straszliwie i potężne, że zawrót głowy i lęk ogarniał niekiedy chciwą wiedzę dziewczynę...

Ar-Azas ciągnął dalej:

– Manazes oznaczył odległość mgławicy Orosz na 100 000 lat światła. Późniejsze badania skorygowały tę cyfrę i ustaliły, że odległość ta wynosi mniej więcej 128000 lat światła. Odkrycie Manazesego było epoką. Rozmiary kosmosu rozszerzyły się. Tak, jak niegdyś w zamierzchłej przeszłości nauka po wielu omyłkach i żmudnych poszukiwaniach wyszła poza obręb naszego systemu słonecznego i dowiedziała się, że owe niezliczone punkty świetlne na niebie, to słońca równie lub o wiele większa od naszej gwiazdy dziennej, tak dzięki Manazosowi przekroczyła wtedy granica naszego wszechświata, zwanego układem Drogi Mlecznej i spostrzegła, że w nieskończonej przestrzeni istnieje obok naszego wszechświata inny, drugi potworny olbrzym kosmiczny sąsiadujący z nami. To dało podstawę do dalszych badań i oto umiejętnie sondowanie nieba wykryło, że zbiorowisko gwiazdowe Orasz nie jest jedynym naszym sąsiadem. Znalezione na niebie układy takich więcej, do dzisiaj już czterdzieści cztery ... Przy dzisiejszym stanie reflektorów i fotografii kosmicznej nie sposób wykryć ich więcej. Światło ich, jeżeli są jeszcze,

podobne utwory w nieskończoności (co jest więcej, niż prawdopodobne), było by tak nikłe, wobec odległości tak potwornych, że nawet astronomowi w głowie się od nich mąci, iż byłoby widoczne, jak niewyraźne punkciki świetlne, nie różniące się w niczem od najdrobniejszych gwiazdek, lub też nie dostrzegli byśmy ich wcale. Jak wiesz, Ellen, religja ludu Asaras przyjęła tę cyfrę czterdzieści cztery, jako cyfrę świętą.

Elen wpatrzona w wyraźne, jasne zdjęcie, wizerunek kosmiczny rzuconego nieznaną wolą w nigdzie niekończącą się przestrzeń olbrzyma, drżała z zabobonnego niemal lęku.

– O jakimż pyłem jesteśmy wszyscy, panie – jęła.

– Elen – uśmiechnął się łagodnie. Cóż my? Układy gwiazdowe są może tylko pyłem w nieskończoności, pyłem rozproszonym przez Niepoznawalną Tajemnicę. A dlaczego i po co? Jaki jest cel, jakie przeznaczenie tych nieprzeliczonych kłębow materji rzuconych niesamowitą siłą w przestrzeń, owe biljony biljonów słońc, czemu rodzą się z mgławic, rozżarzają i gasną: odpowiedzi na to nie mamy i mieć nie będziemy nigdy. Przeszłość łamała się boleśnie z tą zagadką, ludy dojrzewały i ginęły na księżycu, powierzchnia globu zmieniała swoją postać, a tajemnica pozostała tajemnicą, murem, o który przez setki tysięcy lat największe genjusze księżycy i najzawilsze jego systematy religijne rozbijały sobie głowy. Nip dowiemy się nigdy, nigdy, nigdy... chyba po śmierci ... Ludzkość na księżycu nie długo już zresztą szturmować będzie do bram tajemnicy. Istnienie nasze było jedną chwilą w żywocie słonecznego układu. Księżyc umiera. Godzina śmierci dla mieszkańców jego również wybiła...

Jak zimne, bezlitosne ciosy spadały, słowa mędrca na główkę złotowłosej dziewczyny. Starszliwa beznadziejność zagłady, skomlenie rozpaczy i przedśmiertna trwoga

ludzkości księżycowego globu zawyła w jej uszach.

--- Biada! biada! nam! – pomyślała naraz. – Idziemy na śmierć, skazańcy...

Uczony starzec pogłaskał ją miękko po falistych kędziorach.

– Biedna córka kapłana, który sam cierpi katusze niewiedzy. Uspokój się. Otchłań wszechświata zawróciła ci w głowie. Trzeba skupić, naprężyć obolałe myśli i nie dać się opanować trwodze. Nie tylko ty drżysz, Elen. Drży ojciec twój, kapłan ludu, pasterz, który na ślepo prowadzi przed siebie swoje stada. On, najmędrszy z najmędrszych też bije czołem o ścianę tajemnicy. I on i ja i wiele innych mózgów wielkich... Nikt nie wie i zaręczam ci, że ile jest tylko zamieszkałych przez istoty myślące światów w nieskończonej przestrzeni, ile duchów wysila się na rozwiązanie zagadki, tyle jest we wszechświecie rozpaczy, omyłek i niewiedzy. A jeśli ich będzie jeszcze milion w kosmosie, tych ludzkości miotających się w niemocy, na bryłkach planet i miliardów w przyszłości, nie będą wiedzieli, nie mogą widzieć i oni...

Jeden jest tytko, który wie, Straszliwy, Niepoznawalny...

Zatrzęsa się konwulsyjnie Elen pod młotem tego zapytania. Upadła do stóp mędrca w szlochaniu wielkim i żalości. Przed biednym jej, ludzkim mózgiem otwarła się przepaść. Jak to? I z tych ust ust mędrca wszystkowiedza, którego mózg wchłonał mądrość tysięcy ksiąg zawierających taki ogrom nauki, że *kryć* je musiano przed oczyma zwykłych śmiertelników – z ust tych padło to brzemienne trwogą i bólem wyznanie?

– A religja? Nasze bóstwa i nasze świątynie? – wyszeptala zbielełymi wargami. – Religja? – odrzekł Ar-Azas. – Religja nasza najmędrszy jest ze wszystkich, jakie istniały na księżycu i właśnie dlatego wie, że nic nie wie.

Poznała najgłębsze tajnie bytu, a poznawszy, ukryła je w księgach i sercach kapłanów. To, co głoszą oni ludowi w świątyniach, jest koniecznością dziejowa ludzkości. Lud musi wierzyć i słuchać. Mózgi ludu za nikłe są i za dziecięce, by zrozumiał tajemnicę bytu. Lud żyje w swoich wsiach i miastach i rodzi się i umiera spokojnie. Gdyby dojrzał tę otchłań pod stopami swojemi, 20 milionów mieszkańców królestwa Asaros oszalałoby z trwogi i rozbito sobie głowy o mury. Bo pomyśl tylko. Elen. Jakże wyznasz ludowi, że nic wiesz nic. Nic, to jest straszne, przeklęte słowo. Ludzie boją się, boją się tego.

Ar-Azas oparł się głębiej we fotelu.

– Ale zajrzyj w księgi. Elen i czytaj. Co znajdujesz?...Bóg jest praistotą, jest niepoznawalny, żadna inna istota niezdolna jest pojąć go i zrozumieć", tak mówię księgi. „Bóg jest wszystkim we wszystkim, jest syntezę wszelkich kształtów materji i ducha, jest głębią nieznanego. Nie, nie jest imię jego", tak mówię księgi. „Morze jeno zna głębię morza, przestrzeń jeno zna wymiar przestrzeni. Bóg jeno sam może znać Boga", tak mówię księgi. „Wszystko jest i niczego niema. Wszechświat istnieje i nieistnieje zarazem. Bóg wydecha z siebie materię i oto rodzą się wszechświaty mnogie, krążą i mnożą się w przestrzeni Bóg wdecha znowu w siebie materję i wszechświaty ginę, jak sen, jak złuda, jak zjawą.

Elen skulona u stóp mistrza, słuchała pilnie.

– I patrz teraz, Eten. Oto wiedza nasza nie odkryła niczego więcej, niż powiedziała nam przed tysiącami lat religja. „Straszliwy wydech, mówi nauka, potworna Siła Skrętna była prąródłem ruchu i materji. Świadczy o tom forma wszechświatów, kształt układów gwiazdowych poznanych dotąd (a jest ich jak wiesz, czterdzieści cztery). Są to olbrzymie spiralne zwoje materji, a każdy z tych

zwojów zawiera w sobie miliardy brył świecących i ciemnych. Gdyby nie owa tajemnica wirów, owa przeraźliwa Siła Skrętna, nie dałoby się wytłumaczyć powstania tych spirali, w jakie układają się słońca odległe od siebie o setki lat światła. Budowa sąsiednich układów gwiazdowych pozwoliła nam przez analogję ustalić budowę układu Drogi Mlecznej, przyczem hipoteza spirali zgadza się zupełnie z obserwacjami Drogi Mlecznej na niebie. Droga Mleczna, jej gęstość i jasność jest zjawiskiem perspekty wicznem na skutek ułożenia się w jej pasie szeregu zwojów, jeden za drugim. A w innym miejscu powiada nauka: „Wszechświat wypełniać musiała równomiernie materja i zw. Aka-Ashwa “ która jednak nie posiadała wszystkich właściwości materii nam znanej. Jest to raczej pierwiastek duchowy, nieśmiertelny, substrat wszelkiej materji. Za pomocą tej Aka-Ashwa przenosi się światło, ciepło i ciężenie w nieskończonej przestrzeni. Aka-Ashwa sama nie podlega sile ciężenia, bo w przeciwnym razie sama poczęłaby się skupiać dokoła brył kosmicznych, pozostawiając puste luki. Otóż twórcza siła wydechu, Siła Skrętna, pchnięciem swoim wyłoniła z Aka-Ashwy inną materję, materię, której składają się wszechświaty, a ruch nadany jej od razu u zaczątków istnienia potworzył w niej ośrodki, wokół których poczęły się skupiać cząsteczki owej niezmiernie rozrzedzonej subrstancji. Potworzyły się mgławice", itd. Dalszą ewolucję materji w tworzeniu słońc znasz doskonale, więc nie będę ci o niej mówił. Ale nauka, zgodnie z religją. powiada jeszcze coś innego: „Tedy po owym straszliwym wydechu, w następstwie którego złążyły się z nicości układy gwiazdowe w ilości może tak niezliczonej, jak krople wody w morzu, po przerobieniu, przetrawieniu się materii, po owym okresie kosmicznym, który cechuje ruch i siła wzajemnego ciężenia, nastąpić

może. równie olbrzymi wdech, wchłonięcie materji przez Aka-Ashwę, której cudotwórcza potęga jest wprost nieograniczona. Okres ten cechowałby absolutny brak siły ciężenia, który spowodowałby rozproszkowanie się materji i rozplnięcie w morzu Aka-Ashwy, tak równomiernie, jak uprzednio, przyczem każda „cząsteczka” Aka-Ashwy (o ile ją cząsteczką w ścisłym tego słowa znaczeniu nazwać można), wchłonięłaby w siebie jedną cząsteczkę materji”.

Taka hipoteza władzy jest równoznaczna z genialnem objaśnieniem wszechbytu przez religję... Ale dość o tom. Moja mała uczennica musi być tem wszystkiem bardzo, bardzo znużona...

– Dziękuję ci, panie, za naukę twoją. Moja głowa jest dzisiaj bardzo pełna...Ale zapomniałam oznajmić ci, że ojciec mój przyjdzie wnet do ciebie z ważnem słowem...

– Wiem, wiem... Ojciec twój dawał mi już znać o zamiarze odwiedzenia, mnie. Zaraz nadejdą i inni mędracy na obrady w sprawach dotyczących wiedzy i bytu królestwa...

– Czy mam odejść?

– Nic, Elen, pozostań. Język twój nie jest długi, tak, jak język innych kobiet, Możesz śmiało wysłuchać tych słów, które tu padną za chwilę...

– Czy to prawda, panie, że już w dniach najbliższych zamierzasz opuścić nasz glob? Że w zbudowanym przez siebie pocisku olbrzymiej katapulty elektrycznej udajesz się na ziemię?

– Prawda, Elen.

– Czemu, czemu pozostawiasz nas samych nieuchronnej zagładzie? Bądź, nam ojcem dobrym aż do śmierci!..

– Nie mogę. Znużony jestem i stary. Boli mnie tragedia księżycy i jego ludów. Myśl o tom czaszkę mi nieomal rozsadza. Boli mnie i dręczy złość i przewrotność mego

syna. Odejda, Elen. Dla wiedzy. Chcę ujrzeć świat inny, chcę raz jeszcze przed śmiercią zobaczyć bujne, szalejące życie.

– Niebezpieczna to wyprawa.

– Nie przeczę. Mogę zginać zaraz u wrót ziemi. Prawdopodobnie, oprócz przewidzianych przezemnie, czycha tam wiele innych, nieznanym mi niebezpieczeństw. Mimo to nie cofam się przed niczem. Pojadę, niedługo już pojadę...Podróż o kosmos. Będzie to dla mnie ostatnia radość życia, urzeczywistnienie marzeń...

– O panie, pomyśl tylko nad grozą tej podróży. Skoro zamieszkas tam na tym mglistym globie, smutny, samotny starzec, jakaż pałaca tęsknota szlochać będzie w twojem sercu, gdy ujrzysz w nocy twój srebrny księżyc nad głową.

Ar-Azas zerwał się i chwycił ją za ramię...

– Chodź! – zawołał.

To mówiąc, pociągnął ją do elektrycznej windy, która uniosła ich na najwyższe piętro wieży obserwatorium. Za chwilę znaleźli się w ogromnej, okrągłej hali nakrytej przezroczystą kopułą. Pełno tu dziwnych, oryginalnych aparatów i przyrządów zdumiewało oczy, a potężnych rozmiarów teleskop celował w niebo swoją niesamowita lufę.

– Patrz na nią! Czyż nie jest piękna? – naglił, opanowany jakimś nerwowym, fanatyzmem podnieceniem.

Elen spojrzała w soczewkę refraktora.

– Cudna! Cudna! - krzyknęła drżącym głosem.

Tam, wysoko, paręset tysięcy kemt nad nią, w górze jaśniała popielato-srebrną tarczą ta tajemniczą, mistycznym lękiem rażąca bryła.

Ziemia, ziemia...

Potworny, krągły blok materji unoszony czarodziejską mocą, lekko, jak balon w przestworzach, żywy, drgający

kawał wszechświata, falujący chłustami Oceanów, bluzgający krwią lawy z wulkanów, porośły roślinną pleśnią. Spowita w kokon atmosfery, bielejąca chmur kłębowiskiem, ciężarna cielskiem gór i masywami lądów, wisiała nieruchomo nad horyzontem tak bliska a taka cudna i daleka.

– Do niej, do niej wrywa się duch mój, do niej mnie ciągnie za włosy przeraźliwa kosmiczna tęsknota. Nie będę tam samotny, o Elen. Moje myśli i księgi i wiedza moja będzie ze mną. Ta sama wiedza i będzie słońce i te same gwiazdy... A hojne, strojne, kipiące życie, pławiące się w ekstazie ruchu, nie da mi odczuć samotności...

Elen zamyśliła się.

– Czy jesteś pewnym, panie, że pocisk wystrzelony z twej katapulty doleci aż na Ziemię?

– Tak, Elen. Siła wybuchu, jaką rozporządzam, wystarczyłaby nawet do przerzucenia go z Ziemi na Księżyc, co, wobec sześć razy większej wagi przedmiotów na tej planecie, byłoby o wiele trudniejszym.

– A czy nie roztrzaska się on spadając, w drobne szczątki?

– Pęd jego zahamuje nieco gęsta atmosfera i potężne eksplozje rakiet wstecznych. Zresztą dziób statku zaopatrzonego jest w sprężynowy ochraniacz a wewnątrz wyłożono miękkim materacem.

Wstrząs może mimo to być bardzo wielkim, ale nie zabije mnie z pewnością.

– Panie, a tam na Ziemi?! Pomyśl tylko! Straszliwa siła ciężenia ubezwładni twoje ciało, ciśnienie i gęstość atmosfery cię udusi i otruje nadmiar kwasu węglowego...

– A nasi nurkowie na dnie morza? Będę poruszał się z wielkim trudem i z pomocą sztucznych środków mechanicznych, a kostjum „nurka atmosferycznego” z

maską do oddechania uchroni mnie od uduszeniu i zatrucia, rozrzedzając i filtrując powietrze i nie przepuszczając kwasu węglowego.

A więc przewidziałeś wszystko?

– Nie było to wcale trudne. Nauka nasza, specjalnie znajomość planet i ich budowy stoi *na* takiej wyżynie, że najbliższa nasza sąsiadka Ziemia znaną nam jest niemniej dokładnie nieomal od księżyca.

Król Ar-Azas mówił prawdę i nie przesadzał ani trochę. Astronomia i wszystkie w ogóle nauki przyrodnicze doszły na umierającym globie do zenitu swego rozwoju. Dla liczonych starego szczepu Asaras nie było już poprosili żadnych tajemnic w tej dziedzinie. Tradycja 200 000 lat wyteżonych badań oparła wiedzę na tak granitowych podstawach, że wiek po wieku w coraz szybszym tempie dobudowywał coraz wyższe piętro do jej gmachu.

Dość powiedzieć, że około 800 obserwatorów, zaopatrzonych w najcudowniejsze przyrządy, znajdowało się na terytorjnm Asaros. Z roku no rok konstruowano coraz doskonalsze refraktory i coraz świetniejsze osiągnano wyniki w fotografowaniu nieba. Ogrom pracy i niesłychana mnogość zebranego materiału obserwacyjnego, były tak wielkie, że całokształt tego oceanu wiedzy dla mózgow laików stał się bezdenną otchłanią. Katalogi dostrzeżonych, policzonych i oznaczonych na mapach kosmicznych ciał niebieskich ilością tomów wypełnić mogły całe biblioteki. Mapy planet były tak dokładne, że starszy Atar *) i młodsza odeń Ziemia, nie miała już dla uczonych księżyca żadnych tajemnic. Wyczytano z księgi przyrody tych brył planetarnych prawdopodobny wiek ich i przebieg ich okresów geologicznych. Wiedzano, że Atar, po rozkwicie życia organicznego (w opoce, kiedy słońce było jeszcze mgławicą) i po straszliwych mrozach i martwocie okresu

lodowego wkroczył w nową fazę jeszcze bujniejszego życia, z chwilą, gdy słońce skondensowało się na niebie w małą, gorejącą bryłę. Wiedzano, że ta prastara planeta roi się od stworzeń o najdziwniejszych kształtach i że dawno już powołała powtórnie do życia istoty inteligentne, których byt i praca nie zagrożono tak rychłą śmiercią, jak tu na księżycu, do zawrotnych wprost doprowadzić mogą zdobycze ducha.

*) Atar = Mara czy tęsknotę wieczystych poszukiwań ducha.

Wiedzano również, że Ziemia na niższym szczeblu stojąca w ewolucji przyrody, wyprodukowała już swój świat roślinny i zwierzęcy, ale, że, jak dotąd, nie ma na niej żadnych śladów istoty myślącej.

Znano i zbadano dokładnie wszystkie pozostałe planety, a nawet przewyżczono przeszkody w obserwacjach planety Ilabil *), spowodowane nieprzeniknącą chustą mgieł i chmur szczelnie ją otulających.

Dynastia Azas całą tę kolosalną wiedzę skupiała w mózgach swoich, a ostatni król na księżycu, siwy mędrzec Ar-Azas, był najgenialniejszym wiedzącej tej przedstawicielem i kapłanem.

Wielki, dostojny dźwigacz mądrości położył dłoń na stalowej głowicy teleskopu i wypowiedział teraz te oto uroczyste słowa, pod których bezcennym brzemieniem ugięła się mała kobieta Elen:

– Córko rodzaju ludzkiego, wiedz, że mózgi mędrców przenikać winny wolę Niepoznawalnego. Posłannictwo brył kosmicznych i ich dzieci. Istot żyjących, jest świętem i nieodpartym prawem. Nad hałaśliwym, bezmyślnym rojowiskiem grzebiących się w trzęsawiskach ciemnoty

robaków ludzkich, nad szlochającą i bluźniącą pielgrzymką plemion tułających się po gościńcach tysiącleci w nieświadomości przeznaczenia swego, nad przyływami i odpływami ducha niespokojnych zbiorowisk człowieczych hen, w górze obok ślepych konwulsyj materji przechodzi, przepływa w ciszy potężny strumień mistyczny, płomienista wstęga pracy duchów wielkich. My poszukiwacze wieczyści, poławiacze prawd.

*) Ilahii = Wenus.

Rybacy coraz nowe miljardy gwiazd, coraz nowe fale tajemnic zagarniający w sieci, jesteśmy oto tym szwem, przymocowującym łachmany ludzkości do Odwiecznego Wsłuchani w rytm niezmiennych rozszalałych arteryj kosmicznych, w straszliwy szum wahadła czasu, nastawiamy radjo-chwytycze dusz na płomienne nakazy słów nieznanego prawa. Prawo Wszechświatów jest imię jego...

— Panie, panie! — jęczała Elen u stóp mistrza. Pulsy huczały w jej skroniach i oczy zaszły łzami natchnienia.

Postać mędrca zaćmiona dziwną mgłą, majaczała niewyraźnie, jakby z oddali. A głos jego dygotał i grał napięciem, jak dzwonem.

Rozdział VII.

KATASTROFA.

– Nabu zlituj się nad ludem!... Przetrzymaj jeszcze dwie, trzy doby. Abym tytko choć szkielet linii obronnej wybudował... Jeżeli nie utrzymasz się, to śmierć i zagłada nas czeka!

– Amar-Al, wiesz przecie, że czynię, co mogę. Życie położę za króla i ojczyznę A wraz ze mną – położą je moi żołnierze, ale trud przechodzi nasze siły. Jesteśmy słabi.

– Ależ rezerwy-- Rezerwy dostajecie ciągle.

– Wiem, ale to kropla w morzu. Zmiatają nas po prosiu. Tu trzeba by milion ludzi naraz cisnąć w tę strofę zniszczenia, toby może zapchało gardziel nieszczęściu.

– Rząd jest w możności wysyłać ci, Nabu, po 100.000 żołnierzy na dobę. Byłeś przetrwali

– A twoja praca?

– Ja buduję. Ćwierć miliona robotników pracuje w pocie czoła i na przestrzeni dwustu kemi piętrzą olbrzymie dzieło wojny. Ufam, że ten mur będzie nie do przebycia, nawet dla tego druzgocącego taranu wojska Dar...

– Oby tak było!

Obaj spuścili oczy i ściągnęli brwi w ponurej trosce.

Istotnie najazd nowego wroga był prawdziwym kataklizmem dziejowym. Zuchwały, cywilizowany i wojowniczy lud Dar, siedzący od wielu tysiącleci nad brzegami Morza Jasnych Nocy, ruszył się i wulkan jego akspanzji eksplodował, ziejąc ponurą, purpurową grozę przerażenia naokół. Niby jakaś potworna rzeka lawy,

runęły z hukiem i brzękiem niezliczone pułki tych wściekłych, uszeregowanych w armie zbirów i zdawało się, że tego potopu żadna ludzka moc już nie wstrzyma.

Rozbójnicze. Inteligentne plemię Dar, liczne i krzepkie, zahartowane w odwiecznych nieustających wojnach ze sąsiadami i awanturniczych wyprawach na drugą półkulę księżycy – nie mogło wytrwać dłużej w niewygodnej dlań fazie pokoju. Wojnę mieli we krwi i wojna była ich namiętnością. Pod kierownictwem swoich zdolnych wodzów, zaopatrzeni znakomicie we wszelkie środki techniczne, na wzór państwa Asaras, co parę lat wyrajali się ze swoich puszc, równin i wyżyn, uderzając krwawym przypływem o mur graniczny żołnierskich piersi wojsk Nabu.

Dotychczas udawało się genialnej strategii i nadludzkim wysiłkom zarówno samego Nabu, jak i jego poprzedników, odpierać tę hordeę od granic państwa. Ostatnio nawet Nabu zadał im dotkliwą klęskę wśród Gór Żelaznych tak, że na Isi parę przycichli i zrezygnowali ze swoich najazdów.

Teraz jednak w krytycznym momencie, gdy cofające się chmary barbarzyńców i górali z Gór Urwistych osadziły w miejscu wyczerpaną do cna armję Asaras, która gnała ich już przez siedem dni i nocy w panicznym odwrocie – kocioł Dar zakipiał.

Nieprzeliczone ćmy szarych, jednakowo umundurowanych żołnierzy rozbójniczego mocarstwa, wynurzyły się ze stęchłych, czarnych puszc granicznych i przypuściły szturm na całej linii do kolosalnych fortyfikacyj obronnych, sterczących na ich drodze.

Ale tym razem najazd ten był tak przygotowany, plan przez tak utalentowanych wodzów tak opracowany i kosztem niesłychanych ofiar tak potężne środki techniczne zdołano zgromadzić, że tej rozpętanej wojennej machinie

niepodobieństwem było się oprzeć.

Była to zaiste noc sądu i trwogi, gdy na spokojnym dotąd froncie zaryczało nagle trzy tysiące ogromnych katapult wojska Dar i ziemia zadygotała od potwornych eksplozji krwawo-czarnych gejzerów ognistych. Na szańce i warownie ludzi Asaras leciała istna nawałnica pocisków z proc elektrycznych, z miotaczy strzał i ognia, z rur wyrzucających elektryczne bomby i ciecz ognistą. Naboje pyroksylinowe o wadze tysiąca ludzi z głuchym zgrzytem przetaczały się przez powietrze, syk, gwizd i łoskot przeraźliwy ogłuszał i przerażał. Łuna bezustannych wybuchów rozlała się po niebie ponad całą linią frontu Wrót Zielonych od Gór Żelaznych, aż po same Góry Urwiste.

A potem na zasypane gradobiciem płomieni i pocisków, zasnute chmurą trujących gazów i porozrywane w szczątki stu tysiącami wybuchów fortyfikacji, ruszyły z *okropnym ścinającym* krew w żyłach wrzaskiem pułki szarych, wysokich żołnierzy w maskach i pancerzach ochronnych, postępujących nieubłaganie naprzód łańcuchami szturmowymi, których było po czterdzieści i pięćdziesiąt w głąb, tak, że po trupach zmiażdżonych, rozerwanych i zmiecionych szły nowo wciąż i nowe.

Z chrapaniem i spazmatycznym jakby szlochem jechały wśród nich straszne stalowe wozy na *cztery* piętra wysokie, na podobieństwo ruchomych wież, najeżonych rurami, ciskającymi śmiertcionośne naboje. Zbliżały się na czterech łapach mechanicznych potężne płyty trójkątne, w pośrodku których błyskało oślepiającym blaskiem elektryczne oko, szperające pasem ruchomego światła po równinie. Z okrągłych otworów tych płyt wychylały się co chwilę w regularnych odstępach czasu czarne lufy plując salwami zabójczych chlustów wrzących płynów.

Długie, automatyczne węże, wydzielające gazy trujące, pełzały szybko naprzód, otulone tumanem gryzących zapachów. Czyniły one tak niesamowite wrażenie, że ludzie Asaras zakrywali oczy i uciekali w popłochu. A poza tymi węzami waliły naprzód, jak pochód olbrzymów, ciemne, dziwaczne maszyny, piorące przed sobą ziemię straszliwą charataniną wielkich cepów i młotów z taką piekielną siłą, że ziemia tryskała z pod nich w górę na pięćdziesiąt „długości człowieka”.

Front pękł.

Kilkakrotnie słabsza armja państwa Asaras nie wytrzymała tego natarcia i zgruchotana przemożną przewagą podała haniebnie tyły, opuszczając teje samej nocy wszystkie pozycje.

Wtedy na rząd i lud kraju Asaras padł lęk.

Fale radjowe poniosły owe ponure wieści o kiesce i odwrocie do wszystkich miast i świątyń i pałaców. Czoła wodzów i uczonych członków rządu przecięły głębokie bruzdy troski i cierpienia. Rada wojenna, która zebrała się w mgnieniu oka, ogłosiła stan wojenny w całym państwie, powołała do szeregów wszystkich zdrowych i silnych mężczyzn i uchwaliła posłać od razu wszystkie rozporządzone rezerwy na front zagrożony, aby na jakiś czas przynajmniej powstrzymały ów morderczy walec wraży. Równocześnie zaś Najwyższy Inżynier Amar-At otrzymał tajny rozkaz, którego treść była ludowi nieznana, ale który momentalnie rzucił kilkaset tysięcy robotników transportami elektrycznych wozów ku Zielonym Wrotom, aby na drodze okrutnego najazdu wzniesli mur nie do przebycia.

I wtedy czeluście „Miasta Olbrzymów”, owe tajemnicze i zdumiewające wnętrza warsztatów technicznych ludu Asaras otwarły na oścież wszystkie swoje bramy,

mobilizując całą swoją żywiołową potęgę, jako materiał budowlany na ów mur warowny Amar-Ata...

A Nabu, który tejże samej nocy, w której front runął, przyleciał już latawcem na miejsce katastrofy, otrzymał rozkaz walki na śmierć i życie, byle tylko ów napór wroga choć na parę dni w miejscu osadzić, póki poza strefą bluzgającą gejzerami krwi i płomiennej śmierci, poza szlochającą otchłanią rzeźni ludów, poza piekłem duszących się, zamarzających i palonych na węgiel pułków nie sięgnie nowa obronna linia, ostatnia nadzieja królestwa Ar-Azasa...

I zaczęła się ta czerwona, lepka od krwi i polu, nabrzmiąca od grozy, wycia bólu i świstu zdyszanych piersi zarzynających się ludzi – wojenna robota. Przez zielone i żółte obszary Stepów, przez przełęcz pasma górskiego Kiswibili przez krainę jezior solnych, bazaltowych słupów i gorących źródeł, przeciętą tysiącami bezdennych rozpadlin, przewalało się krwawe mięso ludzkie cofających się krok za krokiem armji Nabu. Drgająca konwulsyjnie, skomla, ociekająca krwią masa żołnierzy uparta, zawzięta, nieustępliwa. Stosy trupów rosły w cuchnące kopce na szlaku tego niesłychanego w dziejach księżycy odwrotu. Wśród ustawicznego grzmotu katapult i wybuchających naboji piroksylinowych, wśród złowieszczonego chichotu zabójczych ładunków strzał stalowych, poprzez potrzaskane szczątki rezerwoarów z wodą i zgęszczonym powietrzem, poprzez rumowiska zwalonych od jednego uderzenia pocisku warowni przelewała się czerń walczących do ostatniego tchu nieszczęśliwców.

Łuna i słupy dymów i tupot nóg i szum. jakby miljarde wielkich owadów unosił się nad powierzchnią globu. We dnie, skwar osmałał i żużlił te nędzne upiory ludzkie, przewracając je i dławiąc swoim słonecznym tchnieniem, w

nocy nieprzeliczone bryłki lodu pozostawały na stepach i skałach, jak żwir po odpływie, a była to okropna, biała kra zamarzniętych piechurów.

Rezerwy, których już około dwieście tysięcy rząd Asaras wtłoczył w to trzęsawisko zagłady, wnikały w strumień odwrotu i upodobniały się wkrótce do cofających się łańchmaniarzy. Mimo to jednak, że wróg parł naprzód niepowstrzymanie i masakrował armje zwyciężone tak bezlitośnie – genjusz wojenny największego wodza tej epoki, wspaniałego Nabu, zdołał opóźnić jego ruchy i plany, a tempo odwrotu uczynić na tyle powolnym, że – skoro półmilionowa horda napastników, zepchnąwszy ostatecznie szczątki owego ruchomego wału ochronnego z drogi, stanęła przed murom Amar Ata – olbrzymie dzieło zbiorowego wysiłku ludu Asaras było ukończone.

Armja Dar nabrała oddechu i bez chwili wahania skoczyła na ową przeszkodę susem elastycznego drapieżcy...

– Atakują – dawały znać ze wszech stron aparaty, radjowe do kwatery wodza.

Nabu surowy, natchnionem obliczem półboga, zwrócił się do Wielkiego Inżyniera:

--- Amar-At, czy wszystko w porządku?

--- Tak jest, naczelniku. Nabu...

--- A więc za króla i ojczyznę. Bój o byt ludu Asaras rozpoczyna się...

Pochylił się nad aparatem przewodzącym głos. Mały domek głównej kwatery trząsł się i dygotał cały od wściekłych, raptownych łoskotów kanonady. Okienka bez przerwy stały w ogniu rozpruwających noc wybuchów. Zdawało się, że tam na zewnątrz wybucha sto największych kraterów i sklepienie niebieskie wali się bezwładnie na ścierwo konającego globu.

– Wszystkie koncentratory zgęszczonego powietrza, bacność! Salwą! – krzyknął Nabu do aparatu.

I za chwilę rozległ się potworny, ogłuszający świst i syk tak przeraźliwy, że zdusił cały opętany hałas strzelaniny, a obaj mężowie w kwaterze zatoczyli się, upadając na podłogę, jak pijani...

To z dwustu sześćdziesięciu zbiorników zgęszczonego powietrza runęło dwieście sześćdziesiąt trąb powietrznych i zdało się, jakby to księżyc cały odetchnął głęboko tak, że posłyszały ten głos niesamowity wszystkie miasta i wsi królestwa Asaras...

I stało się tak jakby to huragan jakiś dmuchnął kilkadziesiąt pułków atakującej piechoty Dar, wymiatając równinę na dwa kenty od obronnego muru Amar-Ata.

Ale zaciekleść rozbójniczego wojska, któremu wojna i śmierć była igraszką, nie ulękła się... Buhnęły znów oszalałe mioty szkarłatne z tysięcy rur stalowych, niebo stało w pożodze, o potem noc czarną rozjaśnił na moment, jakby potop gwiazd spadających, od których zaroił się srebrzyście firmament.

Były to szklane bomby, napełnione płynem świetlnym, który przepalał na wskroś ciała, na które padły jego jadowite odpryski. Pękły w stu miejscach naraz z melodyjnym arpeggiem szklanych dźwięków. Mur Amar-Ata odpowiedział chargetliwym, szyderczem rżeniem kilkudziesięciu baterij miotaczy strzał stalowych.

Stalowe czerpaki o ramieniu na 200 długości czł.. Wynurzyły się z ognistych kotłów i płynnym metalem i zamachnęły się poprzez całe niebo, wyrzucając automatycznie płomienne hausty w kierunku wroga.

Wtedy od linii wojsk Dar buchnął głuchym szwargotliwym rozgwarem terkot motorów i mnogość opancerzonych latawców wyfrunęła ku fortyfikacjom

Asaras. Śmiercionośne ładunki materiału *wybuchowego* i kul gazowych obciążały te wojenne ptaki swoim brzemieniem. Natychmiast na stalowych stożkach i kopułach fortów podniosły się w górę automatycznie ostrzeliwacze nieba i wypuły burzę płomieni w owe skrzydlate stada. Zniszczone aparaty poczęły spadać jeden po drugim na dół, ale reszta mimo to, dotarła aż ponad pierwsze linie obronne, a wówczas nadludzkie, przedziwne zjawisko – deszcz ognisty spadł z nieba. Poderwały się jednak zaraz do lotu latawce armji Nabu i nastąpiło na wysokościach zderzenie dwu latających gromad.

Kanonada ustała. Armje patrzyły zdumione na bój napowietrzny, który trwał tak długo, aż zbiorowiska ogromnych skrzydlaków rozprysły się i lotnicy Dar odlatywać poczęli pośpiesznie ku swoim pozycjom, zwalczeni i zmuszeni do odwrotu przewagą liczebną lotnictwa Asaras...

Noc nie była już zupełnie czarna. Cała tysiączna iluminacja panów świetlnych poszarpała płaszcz ciemności, tnąc je nożycami żółtych blasków.

W blaskach tych widać było wyraźnie groźną, namacalnie gęstą chmurę, która wypełzła od stanowisk ludu Dar i sunęła powoli lecz nieprzerwanie ku linjom obronnym Nabu.

– Gaz śmiertelny! Gaz Śmiertelny! – zawyli żołnierze Asaras w swoich fortyfikacjach. – Wytruje nas!!!

Chmura zajęła już pół nieba, pnać się coraz wyżej i bliżej i przewalając smokami kłębow jadowniczej sadzy nad powierzchnią ziemi. Zdawało się, że niema już ratunku przed tym walcem, gazowym, bo maski mogły nie wystarczyć, gdyby chmura nie rozpraszała się przez czas długi.

Ale wtem... po raz drugi lunęły owe powietrzne trąby z

koncentratorów zgęszczonego powietrza, napełnione już dostatecznie – i ów kosmiczny jakby huragan zdmuchnął znów ową chmurę gazów, jak przedtem chmurze szturmującego żołnierstwa podolał...

I gdyby nic maski specjalnie przeciw tym gazom skonstruowane, żołnierze Dar zginęliby od swej własnej broni. Szybkie zastosowanie środków ochronnych ocaliło ich przed zagładą.

– Atak! Atak! – dzwoniły znowu aparaty.

Mrowie pancernego żołnierstwa, w hełmach przeciw stalowym strzałom, pod osłoną owych wież ruchomych, wozów płyt i węzów pokryło po raz wtóry całą równinę czarną falą.

Zagrzmiały wszystkie katapulty i proce ręczne. Wszystkie latawce wyfrunęły na spotkanie licznej, jak gwiazdy na niebie nieprzyjacielskiej piechoty, wszystkie miotacze bomb, płynów i płomieni rozpoczęły pracę, bo koncentratory nie miały jeszcze czasu naładować się hustami powietrza ze zbiorników. Na koniec potężne szufle, wielkości wozów, przymocowane do stalowych dźwigni nabrawszy rozżarzonego węgla z podziemnych, zamykanych klapami pieców, wysypały to czerwone palenisko na pułki biegnących nieprzyjaciół...

Posępny, historyczny wrzask rozdarł powietrze i gromady atakujących zatrzymały się, a potem poczęły cofać w popłochu...

A wtedy...

Ten krwawy, okrutny bój przerwał inny mocarz, który przyszedł, jak kara Boża i poprzewracał wszystko w jeden pijanym, obłąkany zamęt...

Zadrżała ziemia...

Raz, drugi, trzeci... I znowu... Huk, wrzask tysięcy, łoskot rozpasany, jakby świat wali się w jedno olbrzymie

rumowisko. Pancerne budowle zadygotały i popękały w rysy, chybotając się w prawo i lewo. Otworzyły się długie, bezdenne rozpadliny i bruzdy w powierzchni globu. pochłaniając od razu całe pułki... Potężny wstrząs ziemi i powietrza wyrzucił w górę w kozłach i susach katapulty zbiorniki powietrza i piece ogniste.

Panika ogarnęła obie armje. Ludzie zrywali z siebie masaki i płaszcze, dusząc się bez powietrza i ginąc w chaosie tratowań.

Jeden Nabu towarzysz jego Amar-Al, nie uległ popłochowi...

--- Co to? — posyłali falę radjo jedną za drugą do stolicy...Ale miasto Asar, wspaniała, królowka siedziba tysiącletnich dynastji milczało...

--- Co się dzieje? — jęczał Nabu --- Elen! Elen!!!

Radjo odezwało się...

— Z miasta lbal...Trzęsienie ziemi... Wybuch krateru Abrał. Asar w gruzach...U nas połowa miasta zniszczona... Morze wylało i zatopiło Pomorze...

Nabu osłabł i odrzucił słuchawkę...

Zewsząd dobiegał przerażający ryk setek tysięcy istot, ginących w otchłani rozpiętanego żywiołu...

— Koniec — rzekł Amar-Al. — Wodzu, śmierć się zbliża.

Siwobrody król Ar-Azas udał się tej nocy na najwyższe piętro swego cudownego laboratorium. Znalazłszy się w ogromnej szklanej kopule obserwatorium, rozejrzył po niej z uśmiechem. Tutaj był jego świat, tutaj czuł się najlepiej wśród tych umiłowanych „gratów", jak nazywał teleskopy i inne przyrządy.

W pośrodku okrągłej sali sterczała uroczyście i potężnie kolosalna lufa elektrycznej procy. Pogłaskał czule jej zimne ciało.

— Będiesz mi wnet potrzebna. Niedługo już, a opuszczę

lud swój i udam się na Ziemię, oddawszy władze w ręce dzielnego Nabu. Niechaj młode barki wezmą na siebie to wielkie, bolesne brzemie.

Szybko zbliżył się do teleskopu *i* spojrzął woń łakomie.

– Witaj mi Królowo niebios, Ziemi! – szepnął.

Świeciła, błyszczała przedziwną, srebrną poświatą ta piękna, olśniewająca kufa, ów glob tajemniczy wzbierający falami odrębnego, szalejącego życia,

Ar-Azas wpił się, wessał wzrokiem w fenomenalne zjawisko kosmiczne. Te ciemno plamy mórz, te jasne, nieregularne płyty kontynentów, te srebrno białe czapy lodowe i śniegowe na biegunach zdawały się opowiadać, krzyczeć radośnie w przestrzeń o ekstazie swojego istnienia. o zawrotnem szczęściu rozkwitu.

Wtem obraz zaćmił się jakby i zbladł niespodzianie.

– Co to? – zawoła! król.

Zauważył jakby deszcz meteorów przecinający niebo w kierunku wręcz przeciwnym od normalnego biegu tych kosmicznych okruchów.

Obniżył szybko teleskop nastawiając soczewkę tak, że z dołu wyłoniła się czarna poszczerbiona szczęka horyzontu...

I krzyknął zdumiony i olśniony na widok olbrzymiego stupa ognia tryskającego wprost z za czarnych masywów górskich. Ale zaraz zadrżał i nogi ugięły się pod nim z przerażenia.

– Abral – jęknął i chwycił się oburącz za głowę. – Już po nas.

Na dole w mieście ujrzano już zapewne owo zatrważające zjawisko, bo na biały mróz ulic i na martwą ciemność nocy wyległy wzburzone tłumy ludzi... Zerwał się straszny, ścinający krew w żyłach wrzask wielu tysięcy ludzi i odbił się aż o szklane ściany królewskiego obserwatorium.

W świątyniach kapłani uderzali na alarm w metalowe kręgi, napełniając przestrzeń głuchym, zadyszonym łoskotem.

A tymczasem przyszedł pierwszy wstrząs ziemi i zatargał raptownie i brutalnie gruntem pod nogami zeszywniałego w panice człowieka.

Zaskowytał, zaskomlał, zawył glob rozsadzony konwulsją eksplozji i huk straszliwych pulsów podziemnych zgłuszył natychmiast wrzawę.

Stolicą zakołysało coś raz i drugi i w oczach nieszczęsnego króla miasto zamieniło się w jakąś niesamowitą, chaotyczną gmatwaninę rozsypujących się linii. Łuna Abry zalała niebo, i odbłask jej padł na powierzchnię globu, a w blasku tym widziało się wyraźnie straszliwe, niebotyczne chlusty kurzawy, i błyskawiczną pękniętą w zygzaki ścian świątyń i kilkunastopiętrowych budowli. Kominy i wieże przełamały się naraz w kilku miejscach, jak słupy z klocków poskładanych jeden na drugi. Ulice – zdało się – rozbiegły się w nieładzie i popłochu tańcząc i skacząc w górę blokami kamienie. Olbrzymie, czarno wyrwy otwarły się tu i ówdzie, a po zboczach tych ziejących okropności lejów sypało się dymiące rumowisko całych dzielnic gdzieś pod ziemię.

Cudem wieża obserwatorium utrzymała się jeszcze, ale trwało to niedługo.

Drugi, jeszcze bardziej spazmatyczny wstrząs nastąpił tuż, tuż po pierwszym.

Nietknięte jeszcze kompleksy, domów pękły z hałasem i rozprysły się w kamienne drzazgi. Pałac kapłana Sar przewrócił się w ciągu. Jednego uderzenia serca, jakby nim prasła o ziemię garść jakiegoś niewidzialnego, olbrzyma. Tumany czerwonej mgły osnuły całą miasto.

Wówczas z krateru Abra, daleko, daleko, na północy

runął w otchłań czarnego nieba tak potworny, tak niebosiężny słup ognia i dymu, że stało się jasno jak w dzień. I było tak, jakby bolesny, chrapliwy skurcz pokręcił i szarpnął wnętrzościami księżyca. Góry Lodowe na północy – ponure, ciemno masywy raptem zmały, przypadły ku ziemi znikły Wierzchołki rozcharatał w szczapy wściekły moczarski eksplozji.

Obserwatorjum zważyło się, miażdżąc pod gruzami i grzebiąc na zawsze ostatniego króla z dynastji Azas, wszechwładcę ostatniego królestwa na księżycu.

A w Asar rozpętało się piekło.

Domy zapadały się, jakby je zwiewał jakiś przerazliwy huragan kosmiczny, rozpadliny pochłaniały ulicę za ulicą, ogień żywy leciał z nieba grad kamieni i całych złomów granitowych prał w nieszczęsne miasto i dusiła je gorąca chmura opadającego gęstymi warstwami popiołu.

Czad zabijał. Sadza pokryła wszystko. Szalone przeciągi porywały ludzi jak pióra.

A nędzna, szlochająca, obłąkana z trwogi ludzka gromada miotła się we wszystkich kierunkach, na oślep, zasłoniwszy rękami oczy. Ginęły tysiące w jednym mgnieniu oka. Krótki wizg i bełkot tłumów porywała śmierć, jak cięcie topora.

A z wnętrza Abry bucha płonącymi strugami lawa i wylała się z gardzieli krateru połykając jednym haustem wszystko, co napotkała w drodze. Ten potop płynnego ognia posuwał się z, błyskawiczną szybkością ku stolicy i ku wybrzeżom Dźdźystego Morza. Rozszalały szpik globu w drgawkach szkaradnych tarzał się po powierzchni owej skorupy, która tak długo więziła, go zatrzaśniętego ciasno wiekiem Bunt żywiołu zmiotł w zamian za to w ślepej zemście wszystko i wszystkich dookoła.

Stacja radiowa na Dworcu Południowym, jedyna która

ocalała dotąd otrzymała wieść z zachodu, że Morze Dźdźysto wystąpiło z brzegów i zalało kwitnący mlijonowy port Dasi-Daun niszcząc go doszczętnie. Dumne Ibal leżało do połowy w gruzach.

W Osmud zginęło do 200.000 ludzi, a jezioro Bir zatopiło pięć dzielnic miasta.

Bamargut zamieniło się w kupę rumowisk i żużlu. Tasma-Lihali, cudowna kolebka artystów i miłości nie istniała już. Morze zalało Azl-Klut, Bermid, Sisi-Gouth i Ninneh, wspaniało miejscowości kąpielowe, odwiedzane przez bogaczy i ich zielonookie kochanki.

Ogromny i park i oranżeria Smillas-Ilni pogrzebany został pod grubą warstwą popiołu i żwiru skalnego. Niesłychana, rozpaczliwa katastrofa nie oszczędziła żadnego, najbardziej uroczego i spokojnego zakątka kraju, zmieniając ludny, bogaty i promieniujący blaskiem swej kultury kraj Asaras w tragiczne cmentarzysko.

Zakłady techniczne u stóp Gór Lodowych, chluba i największy cud księżycy, spiętrzyły się w groźne, upiorne stosy maszyn i płyt stalowych, drutów i słupów. Z potwornym trzaskiem eksplodowały niezliczone rezerwoary zgęszczonego powietrza, którego ocean rozlał się momentalnie po całym kraju, ale teraz już niestety mieszkańcy jego nie mogli skorzystać z rozkoszy oddechu. Wybuchły tysiące bomb gazowych i zbiorniki z trującymi gazami w warsztatach wojennych, zabijając dookoła życie.

Mroźna noc i brak powietrza dokonywały reszty, znęcając się nad nieszczęśliwymi, którzy ocalili w czasie kataklizmu, a nie mieli skąd zaczerpnąć ciepła i oddechu, wobec zniszczenia wszelkich magazynów, zbiorników i rurociągów.

Zaledwie 300.000 mieszkańców miasta Asar uszło z życiem z pod gruzów trzęsienia ziemi i z ognia wybuchu

Abry, ale i ci dogorywali. Nieco więcej stosunkowo ocalało w innych miastach, dalej na południu i w okręgach wiejskich, bo tam, rzecz naturalna, niebezpieczeństwo utraty życia pod gruzami było znacznie mniejsze. Mimo to około 9 milionów ludzi uległo zagładzie.

Tylko większość miast na południu, w pobliżu Zatoki Szlamu i u stóp Tamitri zachowała się prawie w całości i tam, w to okolice niedotknięte w tak wielkiej mierze, jak północ, katastrofą, chroniły się wynędzniałe, na wpół obłąkane hordy uciekinierów, Otworzono im wszystkie spichlerze, ale oni ten żer połknęli w ciągu bardzo krótkiego czasu i głód zapukał do wrót gościnnych miast południa. Zanim zaś z wysp Morzu Dżdżystego, bogatych i nie nawiedzonych nieszczęściom, nadały z żywnością i pomocą floty kupieckich i rządowych okrętów było już za późno.

Nowy potop nastąpił po potopie ognia i wody.

Barbarzyńcy...

Rozdział VIII.

W OTCHŁANI NIEDOLI

Nabu ocknął się z długiego omdlenia, był już świt...

Otworzył oczy i rozglądnął się dokoła. Znajdował się wciąż jeszcze w małej izdebce głównej kwatery. Naraz przypomniał sobie nieszczęście i grozę nocy. Oprzytomniał natychmiast i zerwał się na równe nogi.

– Gdzie Amar-At? – zapytał sam siebie, nie widząc inżyniera w izbie.

Wyjrzał przez okienko.

O parę kroków od wejścia leżał rozkrzyżowany trup Amarta. Widocznie Wielki Inżynier wybiegł z kwatery, aby skrzyknąć ku sobie żołnierzy i nieść pomoc omdlałemu Nabu, ale trujący gaz go zaskoczył, albo toż w zbiorniku na piersiach powietrza zabrakło i skonał.

On, władca i klucznik tajemnic całej wspaniałej techniki ludu Asaras wraz z jej maszynami, gazami, elektrycznością i radem, on, który tyle powietrza wciągnął w olbrzymich halach rezerwoarów podziemnych – nie żył już, bo... nie miał czym oddechać?! O ironjo!

Nabu zdjął płaszcz ciepły i umocował debrze nowy zbiornik na piersiach, a maskę gazową na twarzy, bojąc się, aby nie spotkał go los Amar-Ata i wyszedł przed kwaterę.

Oczom jego przedstawił się obraz straszliwy.

W złotym blasku słonecznym, którego pogoda nie licowała wcale z ponurym smętkiem katastrofy, rozmiary jej uwidoczniły się tak, że Nabu przestał się łudzić jakąkolwiek nadzieją. Potęga jego ludu uległa zagładzie, armja rozproszyła się.

Naokół, jak okiem sięgnął szczyrzyły swe wyszczerbione

kły i trzony stożki wież pancernych, potrzaskanych, jak pudełka blaszane i zmiażdżone bloki fortów. Ogromne katapulty odrzucone o kilkadziesiąt kroków od miejsc, w których znajdowały się poprzednio, leżały przewrócone na bok, z połamanymi kadłubami, lub bodły niebo pionowo sterczącą lufą.

Grunt popękany, przemierzwiony na wskroś jakimś strasliwym przewaleniem się sił elementarnych, zasłany był szczątkami maszyn wojennych, bomb gazowych i piroksylinowych i niezliczonym mnóstwem trupów żołnierskich.

Niektórzy rządzili jeszcze. Życie ulatywało z nich niechętnie.

A dalej, dalej na północ i południe ta sama pustka, ta sama klęska, ta sama martwota. Jakieś kopce piachu i ziemi wzgórze kamieni, jamy i bruzdy obrzydliwe, zavalone do połowy wysokości ścierwem ludzkim.

Obronny mur Amar-Ata nie istniał już.

Nabu z pulsami bijącymi pośpiesznie w skroni, nieprzytomny prawie z rozpaczy i grozy, szedł przed siebie na oślep, nie patrząc gdzie i po co, potykając się co chwilę o trupy swoich żołnierzy i gruchot wojennych sprzętów.

Nagle wzrok jego padł na jedno z obłych wzgórz, położonych naprzeciw muru Amar-Ata, które tej nocy zajmowali żołnierze Dar.

I cofnął się przerażony...

Ze wzgórza schodził szybkim krokiem a raczej zbiegał oddział roślących żołnierzy w maskach, pancerzach i hełmach. Poznał natychmiast nieprzyjaciół.

Ale nie tylko z tego wzgórza – ze wszystkich stron, na całej długości horyzontu zaczernił się, zamrowili step i popłynęły na zachód, wyprost ku stanowisku Nabu niezliczone zastępy ludzi z Dar. I uświadomili sobie wódc

w jednej chwili, że niezwykle, przerażający kataklizm musiał i ich rozproszyc i odepchnąć w panice daleko wstecz. I teraz dopiero te pułki, które ocalały w katastrofie odetchnęły rzeźnio] i ostrożnie, bez pośpiechu, ciągle jeszcze w obawie nowych, nieznanym sobie klęsk posuwały się naprzód, zalewając opuszczone pozycje wojsk Asaras niepohamowanym pochodem.

Nabu porwał się i począł biec w kierunku pola lotniczego. Dotarłszy doń, szukał gorączkowo nieuszkodzonego latawca, na którym mógłby szukać w ucieczce ocalenia przed srogą niewolą wrażeń zbirów. Wśród wielu, wielu połamanych, pogiętych i okaleczonych aparatów, znalazł wreszcie jeden, który oglądnięt okiem znawcy i dotknąwszy motoru, zawyrokował:

– Dobry...

Wsiadł. A był już czas najwyższy, bo zbliżały się przodnie straże nieprzyjaciela, wynurzając się z pośród rumowisk muru Amar-Ata.

Wzleciał od razu pionowo w górę, poczem poszybował na zachód.

W miarę, jak Nabu w swoim wartkim locie zbliżał się do stolicy, oczom jego przedstawiał się obraz coraz boleśniejszy zniszczenia.

Płaskowyż, rozciągający się na wschód od jeziora Bir, nad którym Nabu odbywał pierwszy etap swojego lotu – o wiele rzadziej zaludniony i zabudowany niż północno-zachodnia połać królestwa, a przy tym mniej dotknięty katastrofę trzęsienia – nie dawał jeszcze przerażonemu i zrozpaczonemu wodzowi lak ponure go widowiska.

Teraz dopiero, gdy latawiec unosił się nad Równinę Plonów, tą wspaniałą prowincję zamieniono w ogród przez człowieka, pokrytą mnóstwem miast i wiosek i pociętą setkami nawadniających kanałów – Nabu zaszlochał

gorzko. Miasta i wioski leżały w gruzach, nierzadko osmalonych straszliwym pożarem i zasypanych koprami popiołu i żwiru z wnętrza krateru Abry. Kanały zniszczone, zawałone piachem i kamieniami, wyschłe, bo słońce wypilo z nich wodę do ostatniej kropli. Pola i ogrody zwęglone, rozorane trzęsieniem i czarne od sadzy. Wszystkie cuda techniki ludu, owe konstrukcje przedziwnych machin, umożliwiających być mieszkańcom niego ścinnego globu połamane, zdemolowane, wyrwane z ziemi, walały się beznadziejnie, smutno cmentarzysko bezładnych, bezużytecznych gratów. Szczątki olbrzymich zwierciadeł lśniły w słońcu, jak pogubione klejnoty, tuby – miotacze wiatrów otwierały ku niobu bezmyślnie ciemne paszczo, piece – ogrzewaczu atmosfery wyrwane wraz z fundamentami z ziemi, sterczały martwo kłębami rur, zbiorników i drutów.

Aparat zniżył lot i leciał tuż nad powierzchnią ziemi, bo ciągle trwający tuman mgieł i dymu, pozostałość po wybuchu Akry, otulał całą krainę. Nabu męczył się niewypowiedzianie Z braku powietrza, bo w cylindrach było go bardzo niewiele i należało go używać oszczędnie. Słońce paliwo przytem nieznośnie i człowiek we wnętrzu rozpalonego metalowego pudła latawca dusił się, wprost z upału. Ale siłą woli, owo potężne "chcę i muszę" człowieka, podtrzymywało sztucznie rozluźniającą się energję.

– Asar i Elen! Asar i Elen! – szeptały spalono wargi, pod czaszką kłębił się konwulsyjny zwój szalonych, krzyczących myśli.

Oczy wysadzone na wierzch z wysiłku i krwią nabiegłe wpiły się w siną kreskę horyzontu, z za której wyłaniały się, wypełzały wciąż nowe i nowe, coraz to smutniejsze krajobrazy.

Mimo olśniewająco białej, rozżarzonej iluminacji

słonecznej, mrok gęstniał i mętniał coraz bardziej. Owo chmury niesamowitej kurzawy wisiały ponad ziemią i przewalały się po niej, juk wyziewy legendarnego olbrzyma. Nabu zniżył jeszcze swój łuf i posuwał się tuż nad dachami domów i wił marmurowych, pokrywających nieprzeliczoną mnogością podmiejskie terytorja stolicy. Niebyły to zresztą domy, raczej stosy żużli i zgliszczy, pogrzebane pod grubą warstwą opadów wulkanicznych.

Mimo hermetycznie – zdawałoby się – zamkniętej kabiny aparatu, nozdrza Nabu rozdrażnił nagie tak nieznośny, odurzający swąd, że wódz nawdział pośpiesznie maskę.

Nabu krzyknął i pobiegł ku niemu.

Za chwilę znalazł się w dużej sklepionej komnacie piwnicznej o arkadowym suficie i skamieniał wprost ze zdumienia. Przetarł oczy raz i drugi i...spojrzał raz jeszcze.

Siwobrody, chudy kapłan Sar, a raczej szkielet jego siedział w kucki pod kranem olbrzymiej boczki z wodą i pił chciwie. Z kranu lala się obficie owa struga, której dobrodziejstwa doświadczył przed chwilą Nabu.

– Ojcie – zaszlochał Nabu i rzucił się do kolan starca.

– Ojcie, gdzie Elen?

– Asar, Asar, Asar – zawołał trzykrotnie i zaśmiał się, poczem upadł na posadzkę i tarzał się po niej z wrzaskiem.

– Obłąkany! – pomyślał Nabu i wszystka krew zbiegła mu do serca. Zasłonił dłońmi oczy i uciekł. Zatrzymał się dopiero po dłuższej chwili, uderzywszy czołom o mur. Oprzytomniał.

– Nabu, spokojny bądź. Przyszedłeś tu po zbiorniki...

Upomniawszy się tak, począł szukać pilnie magazynu zbiorników zgęszczonego powietrza, co mimo ciemności nie było tak trudnem, gdyż młody wódz znał doskonale rozkład owych piwnic. Po pewnym czasie znalazł też to, czego szukał i obładowany cylindrami ze zgęszczonem

powietrzem udał się powrotną drogą.

Zaopatrzywszy tak swój aparat, sam przedzierać się począł przez zasy pyłu gruzowiska, przez zatamowane przejścia i spiętrzone przeszkody ku komnatom Elen.

Rozgrzebywał rumowisko, odwalał na bok bloki betonu, odmiatał popiół i w pocie czoła, pracował cierpliwie pod żarem słońca, szperając zaciekle w tym grobowcu niedawnego życia. Ale ciała Elen nie znajdował nigdzie.

Natrafiał co moment na przywalone trupy domowników kapłańskich i służebnych oblubienicy Nabu. Odgrzebywał delikatne cacka sprzętów i kosztowności, cudownie zachowane kryształowe wazy i flakony z opalu. Wpadła mu w ręce szafka z przejrzystymi tkaninami szat Elen i posążek Matki Ziemi, stojący obok jej łóżnicy i klatka z maleńkim ptaszkiem Kint, który niewiadomo jakim sposobem żył jeszcze i świergotał we wnętrzu szklanego pudełka, przeskakując z pręcika na pręcik.

Nabu przycisnął klatkę do piersi i, wiedząc, jak Elen kochała to kolorowe stworzonko, zaniósł ją do swojej kabiny, poczem wrócił znów do przerwanej pracy.

Upadał prawie ze znużenia, gdy natrafił na szczątki przepięknej oranżerii pałacowej, a w niej martwe ciała nerwowych roślin i trupy uduszonych ogrodników. Mała Arami leżała tu bezwładnie i cicho, przytulona do zwiędłej korony kwiatu Azar, najcudniejszej z roślin na księżycu.

Nabu westchnął.

— Wszędzie śmierć, wszędzie pustka i martwota...

Ale omylił się. Ledwie wymówił te żalosne słowa, rozległ się suchy szelest gruzu i za plecami Nabu stanął jeden ze sług kapłana Sar.

--- To ty, Sasibu! — krzyknął osłupiały Nabu.

— Ja, panie. Jest nas tutaj więcej...

To mówiąc objął z rozrzewnieniem nogi wodza.

– W jaki sposób ocaliliście się!?

– Wielu ludzi ocalało, panie. Ci, którzy schowali się do piwnic i lochów zbudowanych ze sprężystych metali, nie ulegli zagładzie. Przytem zachowało się wiele zapasowych zbiorników i magazynów z przyrządami do ogrzewania i ochładzania powietrza, z pomocą których żyjemy jeszcze, dopóki nie wyczerpie się to wszystko. Wtedy zginiemy bez ratunku, bo główne rezerwoary atmosferyczne w mieście i poza miastem zniszczył wulkan.

--- A tu w pałacu jesteś ty sam tylko?

– Nie. Jest nas dwunastu ludzi, mężczyzn i kobiet siedzimy w lochach i rzadko któryś z nas ukazuje się na powierzchni ziemi. Ja posłyszałem szelest twojego latawca panie, a potem odgłosy twojej pracy i odważyłem się wyjść. O jakże cieszę się, że cię widzę.

Nabu pokiwał smutno głową nad tą dziwną tragedią nędznego bytowania niedobitków ludzkich pod kupami gruzów tej dumnej, wspaniałej stolicy.

– Tak – przywodził jego myślom Seribu. – Tysiące, liczne tysiące żyją jeszcze w Asar. Lecz nieuchronna śmierć ku nam się zbliża. Ale czy można wiedzieć, czego tu szukasz panie?

– Szukam ciała Elen – rzeki głucho Nabu.

– Tedy nie znajdziesz jej tutaj.

– Gdzie jest?

– Na krótki czas przed katastrofą porwał ją wśród ciemnej nocy Amir-Kiwi, syn królewski i uwiózł ją...

Gdzie? Jak?

– Gońcy królewscy i kapłańscy, oraz liczni lotnicy udali się za nimi. Amir-Kiwi odleciał latawcem na południe. Ci, którzy go ścigali – a jej między nimi jeden, który w chwili wybuchu powrócił z pościgu – twierdzą, że zniknął im nad falami Dżdżystego Morza. Nie mogli go dogonić i udał się

w kierunku Gór Słonecznych, w kraj Timrów. Sygnalizowano o tem również z Wysp na Morzu Dżdżystym...

Twarz Nabu powlekała się trupią bladością w miarę jak mówił Seribu...

--- Pojdę za nią – rzekł z mocą i pobiegł do swojego latawca... Za chwilę nie było go już na dziedzińcu pałacu.

Ale u brzegów Dżdżystego Morza latawiec Nabu zawrócił nagle na południk i z błyskawiczną szybkością pomknął ku miastom Pomorza zatopionym przez fale w czasie trzęsienia ziemi.

Młody wódz jęczący pod przeraźliwym świdrem rozpacz, porwany tragedją osobistego nieszczęścia, ocknął się nagie na myśl o losach nieszczęśliwego królestwa, które prócz niego nie miało już żadnego obrońcy.

Bo oto od południowego Wschodu, od linii zwałonego muru Amar-Ata i ze stoków Gór Żelaznych płynęły niezliczone zastępy wojsk rozbójniczego ludu Dar i zagarnęły już trzecią część Asaras falami swojej niszczącej powodzi. Ich lewe skrzydło oparło się już o jezioro Dir i zajęło po krwawym boju nieszczęsne znękane Osmud, przepelnione chmarami uciekinierów z północy – I u stóp Tanitri połączyło się z hordami koczowniczych ludów księżycy, które złamały front Gór Urwistych. Centrum, minawszy Bir, maszerowało wprost na Asar, aby zawładnąć Równiną Plonów i cmentarzyskiem stolicy. Prawe skrzydło wreszcie wtargnęło w krainę Podgórczan, bitnych i hartowanych wieśniaków z górzystych terenów, w trójkącie Gór Lodowych i Gór Żelaznych...

A od południa ześliznąwszy się z szybko z czarnych kominów i turni Gór Urwistych, przez wielką puszcę Djas, ku Zatoce Szlamu i jej kwitnącym miastom, z ochryplem wyciem zwycięstwo posuwały się błyskawicznie zbrojne kupy barbarzyńców rżnąc w pień bez litości upierne

niedobitki pobitej armij Asaras i spokojną ludność kraju.

Nad Zatoką Szlamu energiczni i bohaterscy wodzowie i ludzie czynu z pośród cywilnej ludności gromadzili na gwałt wszystkie siły, jakimi jeszcze można było rozporządzać i obwarowywali się na małym skrawku wolnej od wroga ziemi, broniąc się zaciekle przeciw szalonej furji uderzeń prawego skrzydła armji Dar.

Gdy Nabu wylądował w Ibal, jeden okrzyk radości wybuchł z piersi żołnierzy i mieszczaństwa. Wydał rozkazy i kazał pchnąć rezerwy na Osmud by powstrzymać napór wojsk Dar, a sam poleciał dalej i około południa (o świcie opuścił linję Amar-Ata) stanął w mieście Gismihill nad Zatokę Szlamu. Ale zastał tu po prostu sądny dzień i klęskę, bo wyczerpały się zbiorniki powietrza tych najdalej od miasta Asar położonych okolic, a zniszczone rezerwoary u stóp Gór Lodowych nie były już w stanie napęłnić ich pustych gardzieli. Ludzie tłumami przewalali się po ulicach i tłoczyli się u wrót gmachów królewskich, błagając o powietrze. ale niestety nie było go już prawie. Zabójczy upał przewracał omdlałych ludzi, zbiorniki na piersiach kończyły się i setki trupów zasiały ulice i place miasta.

Nabu w porywie litości chciał rozdać ludziom te nieliczne cylindry, które posiadał, ale rozsądek powstrzymał go od tego. Pomoc byłaby żadna, po prostu kropla w morzu, a na nim spoczywało jeszcze tyle odpowiedzialności i ciężarów, że obowiązkiem jego było zatrzymać tę rezerwę.

Od południa i wschodu dolatywał szum straszliwych zmagañ się żołnierstwa z wrogiem i głucho stękanie katapult. Pociągi transportowe wyruszały wciąż z dworców Gismihill, wioząc ostatnie rezerwy. Wzdłuż tam portowych płynęły uroczyście ogromne bloki stalowych okrętów wojennych, połyskujące groźnie lufami katapult o

niebывałych rozmiarach. Strzelały już niektóre z nich na przeciwległy brzeg Zatoki Szlamu, na miasta, które zalała już robaczywa ćma barbarzyńców. Powietrze zanosilo się złowieszczym gwizdem i szły z oddali ku miastu tępe grzmoty wybuchów.

Nabu z tarasu na pałacu wielkorządcy Południa posyłał aparatem radiowym rozkazy, otoczony przez wodzów podwładnych. Ale wieści z frontu były coraz rozpaczliwsze. Z obserwatorium dawano znać, że za pomocą, luster przenoszących na odległość, spostrzeżono już chmurę barbarzyńców, posuwających się nieubłaganie wzdłuż Zatoki Szlamu ku Gismihill. Kolo Saila-Hai trwała wciąż straszliwa rzeźnia, a bomby gazowe i kotapulty ludzi Dar zmiatały tam pułki Asaras, jak pył z drogi. Saila-Hai broniło się niedługo. Zgruchotane kolosalnymi pociskami, zawalono trupami ludności cywilnej, zasnuęte dymem trujących gazów, zdobyte zostało przez pancerną piechotę nieprzyjacielską, która zniszczyła wszystko i w pień wycięła wszystkich.

I okropne kłębówisko śmierci runęło ku wrotom Gismihill. Na miasto poczęły padać bomby gazowe i piroksylinowe pociski. Wszczął się tak potworny popłoch, że ludzie tratowali się i marli w tumultie, jak muchy. Miasto zapełniło się czernią uciekającego żołnierstwa. Jedni uciekali na północ ku Ibał, drudzy wsiadali na statki pod osłoną wojennych okrętów. Z przeciwległego brzegu były już nieprzyjacielskie proce elektryczne i cała Zatoka Szlamu zamieniła się w piekło wybuchów i gejzerów wodnych.

Zdruzgotane okręty poczęły tonąć inne odpływały szybko na pełne morze. Do Gismihill wlał się potop barbarzyńców i ludzi Dar. Huk, wrzask i świst pocisków ogłuszał.

Nabu wsiadł na latawiec i wzleciał z terasu, kierując się

na zachód, ku Dżdżystemu Morzu...

Młody wódz płakał, jak dziecko, dużymi łzami.

Rozdział XX.

MARTWYM SZLAKIEM NA POŁUDNIE!

Nabu wylądował na wyspie Koroe-Iastma, największej z Archipelagu Morza Dźdźystego.

Panował tu szalony, gorączkowy ruch i zamęt.

W porcie Lostmin-Ossogai-Kris, tłoczyło się kilkaset mniejszych i większych okrętów. Po Pokładach biegali ludzie. Zgiełk tłumów na wybrzeżu, gwizd sygnałów okrętów, buk i syk machin elektrycznych, furkot latawców patrolujących naokoło wyspy dla obrony przed latawcami nieprzyjaciela – wszystko to czyniło taki hałas i tumult, że Nabu całkiem stracił głowę.

– Biada! biada! – użalał się nad niedolą swojego ludu.

Istotnie straszny był obraz tych setek tysięcy uciekinierów zalewających płaczącą, narzekającą, bozna dziejną falą wyspę Koroe-Istma. Mieszkańcy jej przyjęli wprawdzie gościnnie ten potop nędzarzy ale i oni uginali się pod brzemieniem tego ciężaru 400.000 mieszkańców, zwiększyła się naraz o drugie pół miliona ludzi i wyżywić tę masę było wprost niepodobieństwem. Na domiar złego żyznych wysp Archipelagu nie oszczędził też wybuch Abry, niszcząc wiele zbiorów i magazynów żywności gradem kamieni i popiołu. Tak potężną była siła eksplozji, że żuźle wulkaniczne wyrzucone zostały aż tutaj, o 360 kilometrów, od krateru Abrn. Przytem wzburzone morze przerwało w wielu miejscach tamy, zalewając świetnie zagospodarowano pobrzeża wyspy tej i innych. I oto w tych mało sprzyjających warunkach Archipelag zmuszony był gościć przeszło milion rozbitków ze straszliwej katastrofy królestwa Asaras. A strumień ten płynął wciąż jeszcze.

Nadpływały wciąż ogromne wojenne i handlowe okręty z Ibał, całe stada małych stateczków i łodzi elektrycznych, wioząc dumnych kupców i bogaczy Pobrzeża, oraz pstrą biedotę rolników i robotników pozbawionych naraz domu i dobytku i rzuconych na pastwę losu.

Archipelag, niezmiernie bogaty i wysoko rozwinięty cywilizacyjnie, miał swoje własne warsztaty techniczne. Na wyspie Koroe-Istma było nawet coś w rodzaju bardzo pomniejszonego „Miasta Olbrzymów” z pod Asar. Ale urządzenia te i warsztaty nie były w stanie wyprodukować tyle, materiału, ile go było trzeba dla tak olbrzymiej gromady napływających ludzi. Zwłaszcza rezerwuary ze zgęszczonym powietrzem wyczerpywały się szybko, grożąc i tym smutnym i resztkom ludu Asaras całkowitą zagładą. Jedynie wody było pod dostatkiem, bo wspaniałe filtry pracowały ze zwiększoną wydajnością, dostarczając życiodajnego płynu.

Nabu, okrzyknięty jednogłośnie wodzem i jedynowładcą tego ostatniego skrawka królestwa Asaras, czynił, co mógł, aby jakoś uspokoić, natchnąć otuchą, i organizować te oszalałe z rozpaczki zdruzgotane nieszczęściem masy. Przez dwa dni i dwie noce jeszcze przyjmowano nadpływających bez przerwy uciekinierów, umie szczając ich we wszystkich większych gmachach i specjalnych obozach z trudem i troską mozoląc się, by tym nieszczęśliwcom zapewnić jaką taką ochronę, przed dziennym żarem i mrozem nocnym oraz dostarczyć im koniecznej dla podtrzymania życia ilości powietrza.

Po dwu dniach ostatnie okręty wyrzuciły w portach Archipelagu swój straszliwy ładunek. Razem około półtora miliona ludzi przerzucono z kontynentu na wyspy. Było to wszystko, co ocalało z pogromu, dokonanego przez żywioły i wrogie ludy. Tych, co nie zdążyli wyślizgnąć się z objęć

katastrofy i schronić na okręty, wyciął w pień i wytępił doszczętnie okropny najazd barbarzyńców.

Nabu sformował naprędce armję z luźnych gromad żołnierstwa, przetransportowanych z Gismihill i z Ibal oraz z powołanych pod broń mieszkańców Archipelagu. Zorganizował flotę wojenną, która była jeszcze bardzo liczna i stosunkowo mało ucierpiała w tej wojnie, poczem wysłał parę dużych i około pięćdziesięciu małych okrętów, aby nękały barbarzyńców i ludzi Dor ustawicznym ostrzeliwaniem wybrzeża. Dokonawszy dzieła uspokojenia i organizacji, odetchnął.

Na radzie wojennej złożył swoją władzę w ręce doświadczonego gubernatora Archipelagu i oświadczył, że tegoż samego dnia udaje się daleko na Południe, na poszukiwanie syna królewskiego Amir-Kiwi, który uwiózł kapłańską, córkę, Elen.

Próżno błagali go członkowie rady i naczelnicy wysp Archipelagu, aby pozostał z nimi.

– Zginiemy tutaj bez ciebie! Nie opuszczaj nas! – wołali.

Wielu z nich ofiarowało się na ochotnika, że pójdą na południe sami i odnajdą mu tą, której szuka,

Ale Nabu był niewzruszony.

Jakaś dziwna moc, jakiś nakaz wewnętrzny krzyczał mu pod czaszką, że czas najwyższy na niego. Czuł, że musi, musi porzucić wszystko i iść za głosem przeznaczenia.

– Wodzu – nastawali nań wciąż tamci – jesteś naszą głową i ostoją. Nie wolno ci opuszczać nas w tej strasznej burzy, nieszczęścia. Nie wolno ci narażać się na śmierć pewną, a tam, na południu, pod równikiem, niechybnie zginiesz.

– Puście mnie! Trud mnie złamał. Nie jestem już tym samym wielkim dowódcą Nabu. Ten Nabu, który stoi przed

wami, to mały, cichy człowiek, złamany nieszczęściem ojczyzny i nadludzkim wysiłkiem wyczerpany doszczętnie. Pozwólcie mi odejść.

Gdy Nabu powrócił z rady wojennej na swoją kwaterę, wezwał do siebie oczekujących już od dawna nań ludzi. Było to pięciu lotników królewskich. Którzy brali udział w pościgu za Amir-Kiwi i dotarli aż do Gór Słonecznych.

Weszli, a Nabu kazał im usiąść.

– Obserwatorja z Archipelagu powiadomiły nas, że Amir-Kiwi kieruje się wciąż na południe – opowiadali. – To samo twierdzili żeglarze z kraju Ilu-Bo, nad południowym wybrzeżem Dżdżystego Morza. Mogliśmy swobodnie wylądować wśród nich i zasięgnąć informacji, gdyż Timurowie z Itu-Bo są obecnie dla ludzi z Asaras przyjaźnie usposobieni. Są oni w tym samym, co i my położeniu, bo na ich urodzajne i piękne siedziby łakomią się również barbarzyńcy i napierają na nich z południa. Widzieli oni latawiec Amir-Kiwi, zdążający szybkim lotem ku Góróm Słonecznym, poczem znikł za ich ścianą.

– Czy tylko wy dotarliście do Gór Słonecznych? – zapytał Nabu.

– Nie – rzekł ten, który mówił za wszystkich pięciu. – Pościg był bardzo liczny, ale wielu wróciło. Około dwudziestu dotarło do Gór Słonecznych, ale gdy zasygnalizowano nam wstrząśnienie ziemi na północy, zlekli się i nawrócili także oni. Tylko my postanowiliśmy lecieć dalej i zapuściliśmy się w węzeł łańcuchów górskich aż poza granice siedziby Timrów.

– Było tam już bardzo, bardzo gorąco – dodał drugi. – Nie wzięliśmy z sobą dostatecznej ilości ochładzaczy i ogrzewaczy, ani też cylindrów z powietrzem. Obawialiśmy się zapuszczać w dalszą drogę, bo łatwo mogliśmy z niej nie powrócić. Tylko Tao-Tan nie uląkł się niczego i poleciał

dalej na południe. My wylądowaliśmy, na wysokim siodle górskim i tam czekaliśmy na niego, napastowani wciąż przez oddziały barbarzyńców, które wałęsały się po tym dzikim i pustym kraju.

– Gdzie jest Tao-Tan? – pytał niecierpliwie Nabu.

– Tao-Tan umarł, panie. Powrócił niedługo ze swojej wyprawy i miał pierś przestrzeloną kulą z procy Amir-Kiwi. Opowiadał zanim umarł, że, lecąc ponad skalistym pustkowiem bez żadnych śladów ludzkiego życia, wśród niebywałego żaru słonecznego, dotarł aż do olbrzymiego wulkanu, sterczącego samotnie na pustyni.*) Okrążając wysokie, podniebne ściany krateru, dojrzał Tao-Tan małą plamkę, która powiększała się szybko. Był to latawiec Amir-Kiwi, który zbliżał się ku niemu od północnego zachodu. Widocznie Tao-Tan pędził szybciej od niego i przeciął mu drogę. Nastąpiła walka. Tao-Tan strzelał także, ale bezskutecznie, natomiast Amir-Kiwi poraził go celnym pociskiem. Tao-Tano słabł i opuścił się wraz z aparatem na płaskowyż u stóp wulkanu, patrząc z żalem i wściekłością, jak Amir-Kiwi oddala się i ginie za horyzontem, kierując się na południe. Potem przyszedłszy nieco do sił, Tao-Tan powrócił do nas i tegoż wieczoru jeszcze skonał.

.*) Kopernicus.

Nabu podziękował za to informacje dzielnym lotnikom i – ponieważ świt się zbliżał – zaczął przygotowywać się do drogi.

– O świcie wyruszę --- postanowił z mocą – i nic mnie nie powstrzyma w tej podróży, chyba śmierć, Elen, nie pozostawię cię w szponach tego okrutnika.

Pojechał do warsztatów, gdzie pod doświadczonego okiem najlepszych inżynierów zbudowano specjalnego systemu latawiec. Żaden zwyczajny aparat nie nadawałby się dla tak uciążliwej i niebezpiecznej wyprawy, toteż Nabu polecił lotniczej sekcji warsztatów, skonstruowanie maszyny dostosowanej do trudnych i zabójczych wprost warunków niesamowitej podróży.

W specjalnie przeznaczonym dlań hangarze spoczywał gotów już niemal do drogi wielki, lśniąco biały latawiec. Uderzał od razu brak skrzydeł i kształt jego przypominający walcowaty kadłub pocisku, o stożkowatym dziobie. Hermetycznie zamykające się ściany tego latającego potwora zbudowano były z najtwardszego alaju metali, jaki znany był uczonym na księżycu.

– Przewidziano wszystko – objaśniał mały, ruchliwy inżynier o bystrych, błyszczących inteligencją oczach – i na każdą ewentualność przygotowano środki ochronne. Wykluczonym było jakiegokolwiek naśladownictwo dotychczas używanych u nas typów, wszystkie one bowiem polegały na systemie skrzydłowym, naśladowującym lot ptaków i tem samym były w stanie poruszyć się tylko tam, gdzie istniała jeszcze atmosfera, choćby w bardzo szczupłej, zawsze jednak umożliwiającej lot ilości. Skoro jednak uzmysłowimy sobie, jak przerażająco rzadką jest atmosfera tych okolic, w jakie ty, wodzu, tak śmiało zapuścić się zamierzasz, spostrzegamy natychmiast niepodobieństwo zastosowania tu starych typów. Im bardziej będziemy się

zbliżać do równika, tem gwałtowniej powierzchnia globu podnosić się będzie ponad poziom morza, nie mówiąc już o przelatywaniu ponad masywami górskimi w rodzaju Gór Słonecznych lub krateru.*) Ale to nic jeszcze. Zdarzyć się może, że Amir-Kiwi, zaopatrzone zapewne doskonale – bo nie wątpię, że dobrze przygotował się do tej wyprawy – umknie dalej, na Dalekie Południe. Ścigając go, znalazłbyś się wtedy w Kraju Kraterów wśród spiętrzonych podniebnie stożków górskich na wysokościach tak znacznych, że nie wolno nam się wahać przed określeniem gęstości atmosfery tych okolic tem straszliwym słowem: próżnia. Tak. Przelatując nad wierzchołkami kraterów latawiec twój będzie porusza! się w próżni. Skrzydła bezużyteczne. Trzeba było pomyśleć o zastosowaniu znanego nam już tak dawno, lecz tak rzadko używanego systemu raketowego. Energia kolejnych wybuchów naboju o niesłychanej sile eksplozywnej w tyle statku, przerzucać go będzie coraz dalej wielkimi skokami, a specjalny regulator czuwać będzie nad tem, aby pocisk siłą wybuchu nie wyleciał poza obręb przyciągania księżyca i nie pomknął w przestrzeń międzyplanetarną. Naboje eksplozywne będą tak rozmieszczone, że za pomocą nich regulować się będzie kierunek ruchu, przyśpieszać lub zmniejszać chyżość, oraz umożliwiać przez energję wsteczną powolne opadanie na grunt stały.

--- Doskonale – pochwalił Nabu.

*) Kopernik.

– Latawiec jest hermetycznie zamknięty. Nie wolno otwierać drzwi i okien, dopóki znajdował się będzie ponad ziemią. Dopiero po wylądowaniu można opuścić kabinę statku, naturalnie niezapominając o maskach przeciwmro-

żnych lub ochładzaczach, oraz o zbiornikach płynnego tlenu. Kraj Kraterów jest straszny.

– Wiem o tem – rzucił krótko Nabu.

– Zajrzyjmy do środka -- zaproponował inżynier, wiodąc go po schodkach do wnętrza statku powietrznego. – Tu miejsce dla pilota. Tu magazyn z cylindrami tlenu. Tu komora masek i ochładzaczy oraz szafka z wszelkimi narzędziami, jakie tylko tam w tej dzikiej bezludnej głuszy mogą się przydać. Tu aparat do pochłaniania kwasu węglowego w czasie dłuższego przebywania ponad powierzchnią globu. A tu zapasy żywności..

Następnie inżynier zaznajomił Nabu z kierowaniem statku, oraz wszelkimi jego właściwościami, nie pomijając żadnych szczegółów.

– Jeden drobiazg, jedna omyłka może wszystko popsuć. Dlatego musisz się z tem zapoznać, wodzu. Pilot może ulec wypadkowi, a wtedy czekałaby cię śmierć pewna...

– Jakiego dostanę pilota? – zapytał Nabu.

– O ile pozwolisz, wodzu, ja sam pilotować Ci będę.

– Co, ty inżynierze?!

– O ile tylko zgadzać się to będzie z twoją wolą.

– Ależ tak. Przyjmuję twą pomoc z wdzięcznością, inżynierze. Tak wytrawna ręka i głowa, będzie mi znako mitą pomocą...

O świcie przybył do warsztatów gubernator Archipelagu, prosząc Nabu raz jeszcze, aby pozostał.

– Noce są mroźne, a im groźniejsze się stają, tem rychlejsza czeka nas zguba. Morze zamarać będzie teraz tak grubo, że nie tylko piechota, ale i najcięższe maszyny wojenne przejdą po niem, jak po lądzie stałym. Ludzie z Dar napadną nas i zgniotą. Nie utrzymamy się...

Ale Nabu był nieugięty.

Jakaś dziwna myśl drgała mu uporczywie pod czaszką.

Nie wolno ci pozostać! Nie wolno ci pozostać!

Może to mądre, a przewidująca przyroda kierowała nim, jak bezwolnym narzędziem dla urzeczywistnienia swych celów? Może to ona właśnie? Przyszłość pokaże, czy miała rację?

Za chwilę Nabu i inżynier Lori-Dor znaleźli się już we wnętrzu pocisku.

Potężny wstrząs wybuchu zatargał nimi gwałtownie, omal nie przewracając na podłogę i przez małą okrągłą szybkę na dnie kabiny ujrzał Nabu, jak wyspa opada w dół i cofa się wstecz z taką szybkością, że aż w głowie mu się zawróciło od niesamowitości tego widoku...

Cztery potężne eksplozje przerzuciły ich wspaniałymi skokami ponad Morzem Dżdżystem, aż po płaskie wybrzeża kraju Itu-Bo, zamieszkanego przez zmyślnych i walecznych żeglarzy Timrów. Spokojna, gładka, niewzruszona żadnym powiewem tafla morza zakwitła co moment kolorową bajką wysp Archipelagu, przetaczających się w dole, jak cudowne sny dziecka. Tu i ówdzie maleńkie linijki okrętów posuwały się w rozmaitych kierunkach, lśnią w blasku słońca, jak drogie kamienie.

U wybrzeży Itu-Bo zaroilo się od drobnych, zwrotnych stateczków żeglarzy Timrów, oraz od wielkich handlowych okrętów Asaras, utrzymujących stały kontakt z portami tej zamożnej krainy.

Latawiec zniżył lot i przemknął, jak strzała ponad równią pól i stepów zasianą jasnemi plamami wsi i miasteczek. Małe, karłowate lasy, płatami ciemnego granatu pokrywały dna okrągłych kotlin i niezmiernie głębokich zapadłości gruntu, w jakie obfitowała ta kraina stolica Timrów, Sargossar, mignęła, jak białozielone zjawisko, wśród rozpadlin i wzgórków. Teren począł się wznosić tak szybko, że Lori-Dor potężnym pchnięciem wybuchu cisnął latawiec

ukośnie ku niebu, pnać się coraz wyżej, aby przebyć olbrzymim, oszalamiającym. susem biało czerwone masywy Gór Słonecznych. Jechały one wprost na aparat z taką przerażającą chyżością, że zjawisko to nie dało się z niczem porównać. Dziki, zębaty grzebień górski, nagi i błyszczący w rozszalałym blasku słońca, poprzecinany raptownymi liniami cieni, walił ku pędzącym nań ludziom, jak tabun galopujących smoków. Rozrastał się, pęczniał, rozpiętrzał kolosalne gnaty, rozwierał szczęki poszczerbionych turni, trwożąc wściekłą, otchłanną czernią przepastnych rozpadlin i nieoświetlonych słońcem stoków.

Wystrzelił, naraz tuż przed szklaną źrenicą latawca prostopadłą ścianą, plunął w niebo kilku miotami iglic i już zdawało się, że zmiążdży śmiałków klapnięciem szorstkiej łapy, gdy... mgnienie oka i pocisk prześmignął ponad nim, jak Bassarang poprzez wał gładów, aby poszybować spokojnie dalej, wciąż wyżej i wyżej ponad bezdnem kotłów i dziur skalnych. Małe kratery rozkręcały pod ludźmi swoje kotliska, ziejąc dziąsłami wklęsłych den przetopionych słońcem na dwa półkola oślepiającej bieli i całkiem namacalnej czerni.

Lori-Dor dał pchnięcie lewo wskos i latawiec pognał opętanym pędem na południowy wschód, a wtedy długie, powłóczyste łańcuchy górskie zmieniły kierunek, układając się wzdłuż linii lotu. Wyglądało to teraz tak, jakby złotołuskie, czarnoplamiste węże o cielskach pokrytych guzami i wrzodami, pełzły błyskawicznie na północny zachód z pośpiechem tak zaciekłym, jakby tam u brzegów Morza Dżdżystego czekał na nich żer upragniony.

Statek pchnięty ostrogą nowej eksplozji gwizdnął jak kula z elektrycznej procy, zdwajając szybkość.

– Ależ szalone tempo – zauważył Nabu. – Czy to nie grozi żadnym niebezpieczeństwem?...

Lori-Dor zaśmiał się beztrąsko.

– Wykluczone. Jesteśmy niemal w próżni. Lecimy siłą bezwładności, pchnięci wybuchem rakiety i jedynie przyciąganie księżycowej bryły może nam ten zuchwały lot przerwać. Ale, jak dotąd, widzimy to obaj, tę przeszkodę latawiec nasz pokonuje bez trudu. Jedynym niebezpieczeństwem może być złe funkcjonowanie regulatora. Gdyby ten odmówił posłuszeństwa, łatwo moglibyśmy trzasnąć łbom o jakąkolwiek górę.

Wskazał równocześnie oczyma wynurzający się z za horyzontu potworny kontur krateru.

– Timt – rzekł spokojnie. – Najwspanialszy okaz krateru, prawdziwy cud przyrody.

Umilkł i pochylony nad stolikiem regulatora, z wbitemi w dal źrenicami czuwał. Nabu przylgnął twarzą do szyby.

Olbrzymi, majestatyczny krater rósł w oczach, puchł, nabrzmiwał i rozlewał się po całym widnokręgu falującym zbiorowiskiem kamiennych macek. Groźne, strome ściany dźwigały się powoli w górę, jak olbrzymy, powstające z klęczek, na całą wysokość swoich niebotycznych postaci. Mnóstwo, nieprzeliczona mnogość małych kraterów, rozwierała okrągłe pyszczki na stokach, w rozpadlinach, na grzbietach górskich walów. Rozpalone od żaru granitowe kopce srożyły łby ku niebu, krzywiąc się straszliwie spękanymi ustami szczelin. W końcu zajęły całe półkole horyzontu od krańca po kraniec i piętrząc się amfiteatralnie w górę, zdawały się zamykać dostęp beczelnym intruzom ludzkim do jakiejś dziwnej, nieznannej, niesamowitej krainy.

Wszystko to tak osłepiająco białością, tak czernią cieni przeraźliwe, tak potwornie wyraźne w przestrzeni pozbawionej niemal atmosfery, że groza tego krajobrazu hamowała dech w piersiach drobinom ludzkim, zabłąkanym w ten zamęt królestwa martwoty i głązów. Na

tle granatowo-czarnego nieba, bo światło słoneczne nie znajdowało tu już warstw atmosferycznych, w których by mogło promienie swoje rozpraszać, przy intensywnym, rażącym rozżarzoną białością klasku słonecznej kuli, niesamowicie tkwiącej wewnątrz niebios wśród mnóstwa migocących gwiazd, gdy wdali, nad widnokreślami, na lewo błyszczała srebrną poświatą Ziemia, krater Timt był zjawiskiem tak oszałamiającym, że Nabu nie mógł powstrzymać się od głuchego krzyku podziwu i wzruszenia.

A tymczasem pocisk zatrząśł się i strzelił prawie prostopadłe ku niebu, drwiąc śmiałym lotem z opadających pod nim w dół, jak lawina, turni i grzbietów, hycnął błyskawicznie przez pierwsze piętra obwałowań skalnych, nurknął pomiędzy dwa kominy czarnych, smolnych igieł, przesadził lekko i raptownie najwyższy wieniec krzesanic, okalających krater i przejeżdżać począł w nieprawdopodobnym tempie jak *meteor*, ponad otchłanią wulkanu. Głęboko, hen na dole, w bezdennej odległości pod nim, przepływała ciemna, pofalowana płyta zastygłej, zaskorupiałej lawy, a w *pośrodku* owego dna krateru wznosił się w niebo, nieregularny blok spiętrzonych stogów kamiennych, jak ramię olbrzyma, wyciągnięte z zaciśniętą pięścią ku napowietrznym wędrowcom..

Skoro przebyli południowy mur warowni krateru, pocisk zniżył lot nie zwalniając pędu, przelatywał nad płaskowyżem, podziurawionym niezliczoną ilością małych kraterów, wyglądających, jak pierścienie, które porzucone bezmyślną ręką, walają się po pustko wiu. Potężne fałdy i łańcuchy górskie wiły się i tutaj z północy na południe, rozlewając się w oddali w morzach pustynnych piasków.

Długo jeszcze Lori-Dor i Nabu nie mogli ochłonąć z wrażenia uroku i grozy, jakie rzucił na nich straszliwie

piękny, obraz krateru Timt.

Na prawo wyrosły znowu dwa duże, kratery, które ominęli, kierując się wciąż na południowy wschód, a potem w jeszcze bezkresniejszej dali przesunęły się ponad horyzontem ogromne szczęki, krateru Bablubejs, w którego wnętrzu, jak opowiadają sobie barbarzyńcy, zły duch mieszka.

– Równik – odezwał się nagie. Lori-Dor, przerywając głębokie, ciężkie milczenie, jakie od chwili spotkania z kraterem Timt panowało w kabinie.

Nabu spojrział na mapę.

Istotnie przelatowali nad pasem równikowym. Jak okiem sięgnąć, rozpościerała się tutaj pusta, przeraźliwa, głucha i martwa pustynia, upstrzona biało-czarnymi plamami gładnych osypisk i ponurymi bruzdami wszerz i wzdłuż. Sklepienie niebieskie, drzemiące nieruchomo nad tem cmentarzyskiem dawnych puszczy leśnych i jezior przybladło nieco i przybrało odcień szafirowy. Gwiazdy błyskały słabiej i blask Ziemi nikszy był i więcej popielaty lecieli nisko nad powierzchnią globu i gęstość atmosfery była tu większa), za to słońce prażyło tak straszliwie, że ogień poprosili leciał z nieba. Dziki lęk i beznadziejny smutek panoszył się w tej głuszy...

– I tu żyją ludzie – mruknął Lori-Dor do siebie.

Za chwilę pocisk znalazł się nad piaszczysto, pofalowaną równią, dnem dawnego Morza Skwaru, które od równika ciągnęło się w kierunku południowym daleko, daleko na południe. I tu ukazywały się oczom wędrowców małe kręgi kraterów, szczątki owych wulkanów podmorskich, wybuchających niegdyś z tak niesamowitą siłą, że niebosiężne słupy wody i ognia strzelały w gwiazdy, a tumany pary rozlewały się błyskawicznie po całej powierzchni wielkich wód.

Straszliwa, jałowa pustka rozpościerała się bezkresnie, skomlać boleśnie w męce rozszalałego słonecznego żaru. Tu i ówdzie długie, zygzakowato bruzdy i szczeliny znaczyły tę pepękaną, jak wargi spieczono gorączką, kraina.

Krater Set-Ur *) wychynął naraz z za krawędzi horyzontu i pławiąc się we

*) Krater Parry.

wściekłych żółciach i czerniach światłocienia, rozprężył cielsko szczerbate na pół nieba.

Pocisk, szarpnięty rakieta ku górze, przebiegał teraz bardzo wysoko ponad okolicą. Ogromny krater, okolony podwójnym wieńcem gór, z charakterystycznym stożkiem wulkanicznym pośrodku, piętrzył dumnie swoje piony, garby i luki, a wokół niego, jak korni wasale, pięć mniejszych kraterów, o podobnych, lecz skarłowaciałych kształtach, ziało dziurami swoich otworów. Smugi zastygłej lawy ścieliły się promieniście po pustyni, spływając ze stoków Set-Ur. Dno wielkiego krateru miało poziom o wiele niższy od poziomu okolicy i było wypełnione również szarą magmą, zastygłą po wybuchach, porysowane siecią rozpadlin i upstrzone mnóstwem maleńkich kraterów, jakby okrągło rozwartych lejków.

Przelecieli nad Set-Uriem i pozostawili go za sobą. W dole pod nimi przesunął się szybko oryginalny, mały krater, wypełniony lawą aż po brzegi górskiego rondla, tak, że utworzyło się tu na miejsce zwykłego otworu, ze stożkiem pośrodku, elipsowate płaskowzgórze, o grzbiecie równym, jak stół, łub jak odwrócone dnem do góry naczynie.

Zaraz polem wyrósł przed nimi jeszcze jeden wielki pierścień gór kraterowych, nie o wiele mniejszy od Set-Ur.

– Lori-Dor, trzeba przerwać lot. Nie ma celu gnać dalej.

Nie znajdziem przecież Amir-Kiwi, szybując na tych wysokościach ponad pustynią. Równie dobrze mógł się on ukryć tu na Morzu Skwaru, jak i dalej na wschód wśród łańcucha olbrzymich kraterów. Musimy się spuścić na dół i poszukać jakichś wskazówek.

– Gdyby Amir-Kiwi zamierzał wylądować wśród wielkich kraterów podzwrotnikowych – odparł Lori-Dor, – byłby bez wątpienia, wyruszając z Asar, kierował się wprost na południe przecinając łańcuch Gór Urwistych w jego najniższym, zachodnim ogniwie, szedłby skrótem po Szlaku Barbarzyńców ku Kałuży Środka. Czemużby miał zbaczać i nadkładać drogi aż tak dalece, by chcąc dostać się tam, gdzie przypuszczasz, wodzu, zatacza! kolosalny luk ponad Morzem Dżdżystem, krajem Itu-Bo, Górami Słonecznymi i kraterom Timt. Byłoby to wprost bezsenso wnie.

Mówiąc to, przekreślił kontakt rakiety wstecznej, manewrując regulatorem tak, że pocisk, przelatując właśnie ponad ścianą krateru, zahamował swój bieg i opadał ukośnie w dół ku powierzchni globu.

Rozdział X.

KSIEŻYC KONA

Amir-Kiwi, dławiony niepokojem i trwogą, miotał się jak szalony po ciasnym wnętrzu kabiny.

Nie mógł pojąć, jaka jest przyczyna tak zastraszającego opóźniania się jego sojuszników. Zapas tlenu wyczerpywał się, żywności ubywało z dnia na dzień, a wykluczonem było znaleźć tutaj jakieś nikłe chociażby resztki życia organicznego, które by się jako pokarm i napój dla ludzkich organizmów zużytkować dały. Na tem strasliwem pustkowiu, w tej groźnej, trupiej krainie okropności żadne źdźbło, żaden krzew, żadne stworzenie żyjące nie mogło się utrzymać.

Ponuro spoglądał królewski zbrodniarz przez dno kabiny na martwy krajobraz spiętrzonych potwornie brył skalnych, na kopce, stogi i wielokątne bloki gładów, na prostopadłe ściany wieńców górskich, zamykających kraterowe kotły i na dziki zamęt czarnego rumowiska rozsypany wszędzie przez strasliwą energję wulkanicznych erupcyj.

Stąd, z wysokiego ganku skalnego u podnóża pierścienia gór krateru Kruno, jak okiem sięgnąć widziało się ostro i wyraznie (przy braku atmosfery) opadające tarasami w doliny olbrzymie piętro kamienne, przewiercone tunelami dziur bezdennych i porysowane wściekłemi zygzakami rozpadlin pogarbione fałdami łańcuchów górskich i pokryte nieprzeliczonem mnóstwem dużych i małych kraterów. Wszędzie krater i krater, jedno obok drugich, podwójne, gniazda całe, oto tam na lewo w dole ogromny krater rozerwany przez drugą, eksplozję w taki sposób, że na

cięciwie luku okalających go gór, utworzył się drugi krater. Na stokach tamtego znowuż siedem małych kraterów splątanych i skotłowanych tak ze sobą, że niepodobna wprost odróżnić, gdzie kończy się jeden, a drugi zaczyna. Tuż obok potworny, niebotyczny słup turni, wysoki na 1000 dł, czł, wytryska w gwiazdy, jak ramię księżycy godzące w słońce oszczepem. Poniżej tego kłębowiska skał istne katarakty, strugi i jeziora lawy, której szkliwo lśni oślepiającym blaskiem.

Na wprost krater o dziwacznej budowie, najeżony mnóstwem prostych, iglastych, granitowych obelisków dymi groźnie czerwonym tumanem gazów, rozlewając niezwykłą poświatę dokoła. Potężno bloki kwarców, wapieni i porfirów sterczą tu i ówdzie porzrzucone po bezmiernym polu magmy spływającym w zastygłych lukach w doliny od stóp krateru Kmito. Zda się, że to jakiś przeraźliwy deszcz mineralny, jakieś gradobicie kamieni spadło tutaj z niebios niegdyś w epokach odległych, kiedy jeszcze śladu człowieka nie było na księżycu. Czy i to oziębająca się atmosfera przesycona ciężkiem, ponurem brzemieniem pierwiastków mineralnych osadzała się w ten sposób na tężejącej w grudy i bryły skorupie, czy to rój stutysięcznych uranolitów, pędzących przez przestrzenie między gwiazdne jako pył z roztrzaskanego katastrofą kosmiczną globu?

Olbrzymie, wyższa nad szczyty gór gejzery tryskały całym lasem jeden obok drugiego, mniejsze obok większych, szumiąc tylko głucho, bo ich wściekły huk ledwo przedostawał się przez fale rozrzedzonej atmosfery. Chmury białej pary zasłaniały część nieba, buchając protuberancjami rozszalałego waru w przetwór

Amir-Kiwi miał już dość tego widowiska okropności.

Chciał wracać, a bał się...

Nie wiedział, nie wyobrażał sobie, co się dzieje w królestwie Asaras, co czyni rycerski Nabu, jak daleko sięgają już macki zaciekłych poszukiwań, w których możliwość nie wątpił. Słudzy jego i przyjaciele pozostawili go bez wieści, na fale radio wysyłano na północ nie otrzymywał odpowiedzi.

Jakże tu wracać? A nuż czyhają w granicach Kraju Kraterów latawce Nabu i gdy dostrzegą choć ślad jogo rozpoczną natychmiast swoje straszliwe łowy.

A pozostać tutaj dłużej oznacza śmierć – zagładę.

Te przekłete wstrząśnienia skorupy i to wycia i skomlenia globu, te drgawki i konwulsje i gazy buchające z kraterów lada chwila mogą się zakończyć wybuchem, który zmiecie znów łańcuchy gór, jak żwir drobny i rozwali na strzępy nagie cielska kraterów.

A to jezioro wrzącej siarki w kraterze na południu... To kotłowanina sił nadludzkich, która eksplodując zaleje glob potopem pożogi. A ten mróz straszliwy. nieomal taki, jaki panuje w prze stworach między plenarnych, mróz, który ciało ludzkie nie osłonięto i nie ogrzane sztucznie zamieniłby w mgnieniu oka w bezkształtną masę zlodowaciałego mięsa, pokrytą mnóstwem bąbli i wzdęć skóry, jak od najstraszliwszych oparzeń. A ten żar dzienny zabijający wszelkie życie, przed którym człowiek, chcąc uniknąć śmierci zmykać wciąż musi do clenia.

A ta okropna próżnia bezpowietrzna, która by śmiałka, chcącego bez kostjumu stawić jej czoło zadławiła natychmiast wysysając zeń od razu krew i życie... Gdy zabraknie w cylindrach cudownego, rozkosznego tlenu, co będzie? Strach pomyśleć. Śmierć, śmierć! Po cóż uciekł tu z tą dumną, oporną dziewczyną, która wszystkimi zmysłami pożądał? Do której objęć tęsknił jak szaleniec. Której pocałunek przyprawiłby go o zawrót głowy, której

Pieszczota spaliłaby mu nerwy, a która, jak mściwe, złe zwierzątko odtrącała go wciąż od siebie kłując ostremi zębami, gdy się zanadto zbliżył.

Amir-Kiwi aż warknął.

Nerwy jego odmawiały już posłuszeństwa.

Rozstrajało go jeszcze to straszne, czarne niebo usiano milionem mikroskopijnych punkcików gwiazdnych, których głębokość i odległość w przestworze doskonale dawała się odróżnić. To słońce, wściekła, żółtopłomienna kula oślepiająca na tle na tło zupełnej czerni i Ziemia, kolosalna, mętna bania otuloną woalem atmosfery, błyszcząca masowo na firmamencie, tak dziwnie namacalna i okrągła, że chciało się krzyknąć z trwogi, patrząc na nią. Oh – *to niebo* zawsze jednakowe, czy w noc, czy we dnie, to brutalnie drgające nerwy niebo.

Niedawno pojawiło się na widnokręgu potężna kometa, która teraz dosięgła swego przysłonecznego punktu i świecącym ogonem rozciągniętym na pół nieba powłóczyła złowrogo za łbem czerwonego jądra.

Amir-Kiwi nie mógł znieść tego wszystkiego.

Zdawało mu się, że oszaleje...

– Wracajmy! – świsnął z kąta kabiny głos ostry, suchy, zły, jak kłaśnięcia bicza.

To Elen.

Siedziała na ziemi w kuchni, skuwana, z kolanami pod brodą, wtulona między sprzęty, a oczy jej błyszcząco goryczką i nienawiścią ścigały swego gnębiiciela.

– Wracajmy. Pomoc nie przychodzi, nie utrzymamy się przy życiu. Wracaj Amir-Kiwi, a obiecuję ci łaskę z rąk króla, mojego ojca kapłana Sar i Nabu.

– Milcz – wrzasnął...

Równocześnie wzrok jogo dostrzegł widocznie coś na niebie po przez okienko kabiny, bo stęknął jakimś

przykrym, charczącym głosem za głowę się złapał..

– Kto to? – wyjąkał nieswoim głosem i rzuciwszy się ku szafie wciągać począł na siebie kostjum i maskę.

Elon wzdrygnęła się i skoczyła nieprawdopodobnie gibkim susem do okna. Oh! Na czarnem tle niebios jakże cudownym zjawiskiem był ów wielki biały metalowy potwór, pędzący z szaloną szybkością ku podnużom krateru Kruno.

– Nabu – zaszlochała radośnie.

Amir-Kiwi wybiegi już z kabiny. Elen wdziała pospiesznie kostjum i maskę i wyszła za nim.

Siał nieopodal latawca z głowa zadartą do góry i obserwował coraz to wolniejszy lot zbliżającego się pocisku. Ludzie, którzy się w nim znajdowali nie mogli dostrzec jego latawca w cieniu skały, to też na razie uspokoił się. Patrzał, jak statek niebiański opada ku powierzchni globu i znikł za końcami kraterowych turni na prawo. Wtedy Amir-Kiwi drgnął.

To nie moi ludzie, lecz pościg, Elen niech wejdzie do kabiny. Odjeżdżam.

To mówiąc, podszedł ku niej i wskazał rozkazująco palcem swój statek.

Elen wzruszyła ramionami.

– Jedź sam. Nie pojedę!

– Siadać! – ryknął ochryple i pchnął ją ku latawcowi.

Wtedy, łagodna, promienna Elen, którą gniew i pogardę przeistoczyła w istotę i zuchwałą, zacisnęła zęby. Pociemniało jej przed oczyma, a pod czaszką zawirował kłęb raptownych myśli.

Nabu, jej Nabu, a jeśli nie on, to jego ludzie przybywają po nią a ona miałaby dobrowolnie zrezygnować z ocalenia, idąc doleż za tym ohydny złoczyńca?!

– Precz! – wydarł się jej ust dziki krzyk.

Pchnęła go w pierś całą siłą swoich kobiecych, ramion, a mężczyzną, dla którego ten atak był niespodzianką, za chwiał się i zatoczył wstecz kilkanaście kroków aż na samą krawędź skalnego ganku, na którym znajdowali się oboje.

Zachamował się na mgnienie oka, zatrzepotał rękami, łapiąc oparcie i... runął naraz wstecz, jak przedmiot bezwładny.

– O! – krzyknęła osłupiała Elen i pobiegła ku krawędzi otchłani.

Nachyliła się nad nią nieostrożnie patrząc jak ciało jej prześladowcy stacza się w pospiesznych rzutach i skokach w dół po płytach lawy i garbach głazów.

Przepadło w czarnych czeluściach na zawsze.

Wtedy Elen wyprostowała się i pełną piersią zaczerpnęła powietrza ze zbiornika.

--- Jestem wolna! – szepnęła do siebie i rozprężyła ramiona.

Rozglądając się dookła, jakby grozę otaczającego ją krajobrazu zobaczyła dopiero teraz i kurcząc się, pobiegła ku cielsku statku.

– Jestem wolna i sama . --- powiedziała raz jeszcze.

Mróz przeszedł jedna myśl, że ci, którzy przybyli, aby ją ocalić, mogą nie odnaleźć jej w tej strasznej krainie. Musi tedy sama wyruszyć na ich spotkanie, sama udać się tam gdzie w oczach jej spadł biały, pocisk pośród skał. Musi!

Weszła do kabiny i posunęła się ku siedzeniu kierowcy.

Ale nim zdążyła usiąść, pulsa zahuczały jej w głowie. W uszach szum jakiś niesamowity się rozszalał i padła na podłogę kabiny – omdlała...

Żar był straszny. Nabu i Lori-Dor ledwie oddychali, pracując gwałtownie wielkimi i miechami płuc. Obciążające ich kostjумы, maski i zbiorniki były wprawdzie bardzo niewygodnym brzemieniem dla ich ciał w

nadludzkim sprężonych trudzie, ale balast ten był nieodzownym. Gdyby nie on, nie byłoby w ogóle mowy o opuszczeniu wnętrza pocisku i tym samym o jakichkolwiek poszukiwaniach za zbiegiem.

Uparci łowcy królewskiego syna przebyli dużą przestrzeń dna morza Skwaru, zostawiając daleko poza horyzontem po lewej ręce gniazdowisko Wielkich Kraterów Centralnych, oraz dawny, prosty jak linja, wał kamienny, powstały z niewiadomego powodu. Zagłębili się następnie w ponury ogrom i rozpaczliwy smutek Kraju Kraterów, którego groza i potworność rzeczywistości stokroć straszliwsze były od tylu, tylu opisów.

Wiedząc z góry, a raczej przypuszczając logicznie, że latawiec Amir-Kiwi ukrył się gdzieś w czarnym, gęstym cieniu gór kraterowych, opadli na chybił trafił u stóp północno-wschodniej połąci gór pierścieniowych Kruno, poczem opuściwszy wnętrze pocisku, udali się na długie, uparte poszukiwania.

– Musimy ją znaleźć – powtarzał z mocą Nabu, a Lori-Dor kiwał potakująco głową.

– A jednak nie musimy – dodawał posępnie w duchu i zaraz uzmysławiał sobie ogrom niebezpieczeństw, zagrażających na każdym kroku wątlemu, wegetującemu bytowi istot ludzkich. Wstrząśnienia skorupy księżycy, eksplozje wulkaniczne, mróz i płomień dnia, oraz brak powietrza, który jeżeli dotknął Amir-Kiwi i Elen, zginęli oboje bez ratunku...

Nie odbierając otuchy zgorączkowanemu, radosnemu Nabu, pamiętał inżynier o wszelkich narzędziach, instrumentach technicznych i szczegółach zaopatrzenia się na dalszą pieszą wędrówkę.

I poszli w głąb szalejącego, kamiennego piekła.

Przez pochyłe płachty pól zastygłej lawy, po sztorcach ostrych głazów, przeskakując z akrobatyczną zręcznością z jednych na drugie, gnali ku piętom skalnym, aby tam dopiero zaznać upokorzenia i udręki.

Śliskie kopce kamienne, rynny i kominy, którymi pięli się, osuwając wciąż beznadziejnie w dół z powrotem, kopuły garbów kwarcowych nabijanych połyskliwą łuską miki, prawie prostopadło obwałowania drobnych kraterów zdawały się drwić z pyszałkowatych stworzeń, tak zuchwale wybierających na podbój niegościnnego pustkowia. Prześlizgiwali się wąskimi przejściami pomiędzy blokami skał, grzebali się w piachu i żwirze po dnach wąwozów i rozpadlin mrocznych i czarnych, gramolili się jak niedołążne zwierzątka przez zasypy miału skalnego, na który start bryły górskie rozmach kataklizmów przyrody. Mijali z lękiem i pośpiechem małe jeziora ogniste, kratery pełne wrzącej lawy. Upał nieznośny w pobliżu tych dziwacznych upiorów natury zdało się, że spali ich na żużle. Wściekle fontanny płomieni purpurowych, zielonych i żółtych, opadające kaskadami i deszczem jęzorów ognistych, rzucały krwawotrucie odblaski na gnaty górskich olbrzymów. Brodzili po kolana w warstwach popiołu i pumeksu, pochodzącego z niedawnych wybuchów i stawali co moment przed nową niespodziewaną zagadką i tajemnicą okrutnie zrujnowanego ładu, którym tak niesłychana miotała przemoc podziemna. Tu i ówdzie grunt dymił i kurzył kłębami smrodliwej sadzy przez niezliczone spękania skorupy. Czad drażnił nozdrza, żar rozpalonego kamienia, po którym, stąpali, parzył ich stopy mimo grubych podeszew ochronnych o nadzwyczaj trwałej konstrukcji, kaleczyli dłonie na szczerbach i szparach, których czepiały się ich palce – mimo rękawic ubezpieczających, w rozmaitych

punktach naokoło siebie widzieli białe, kipiące różgi gejzerów, co chwilę opryskiwani gorącym deszczem miljarde kropel.

Raz zagroził im drogę szeroki strumień gorącej lawy, który wylewał się gdzieś wysoko z kotła małego krateru i zasnuwał się w doły rynnami skalnych łożysk. Ledwo uniknęli śmierci, poczem w bezpiecznym już miejscu popadali z wyczerpania, jak martwi. Po dłuższej chwili dopiero mogli udać się w dalszą drogę.

Wspięli się na stromą ścianę okalającą jeden z większych kraterów na stokach Kruma i szli po karkołomnym żlebie z trudem utrzymując równowagę na krawędzi, po której obydwu stronach ziała przerazliwa przepaść. Otwierał się stąd wspaniały, kolosalny widok, panorama dzikiego krajobrazu Krainy Kraterów w całym jej ponurym mejestacie. Wszędzie, juk okiem sięgnąć, białe i czarne plamy, martwota bez trawy, ni krzewu, nagi kamień rozżarzony słońcem, wytryski lawy i kolorowe fontanny ognistych jezior, białe różgi gejzerów i słupy ognia, i sadzy buchał, hen, w oddali na horyzoncie z paszcz czynnych kraterów, świetne, *ale ścinające* krew w żyłach miażdżącą grozą widoku krwawych olbrzymów, dźwigających się z głębi wrących kotłów i pieców w czeluść czarnego nieba.

I to wszystko przy akompaniamencie bardzo lekkiego, nikłego szmeru skomlenia, nie zestrojonego wcale z ogromem tych zatrważających zjawisk — co tem więcej przydawało cudacznej potwornoci widowisku.

Przerzucali ciała w śmiertelnych skokach ponad otchłaniami rozpadlin, *prześlizgiwali* się po wąziutkich gzymsach skalnych, przylepieni do stromych, gładkich przesunie, zsuwali się w dół po żółtych osypiskach wulkanicznego piargu i doznawali zawrotów głowy na widok bezdna naraz ni stąd ni zowąd otwierającego się pod

nim.

--- Nie mogę już. --- rzekł w pewnej chwili Lori-Dor. – Ty, wodzu, jesteś więcej przyzwyczajony do takich karkołomnych wędrówek, ale mnie już we łbie się mąci. Pozwól, że spocznę.

Nabu był zgnębiony.

Co to znaczy, że nigdzie ich nie widać. – niepokoił się. – Toż my możemy ich tak szukać i dzień cały i dwie i trzy doby nawet bez skutku w tym chaosie... Inżynierze, zbierz, siły, dojdźmy jeszcze do tej przełęczy, która tam wisi ponad nami i spoglądnijmy w czeluść krateru Krunu, może tam wylądował Amir-Kiwi.

– Choćby nawet tak było, nie dojrzysz go, bo skrył się zapewne w cieniu. Ale jeśli każesz – chodźmy...

Poderwał się i poszli dalej.

Znów pięli się i darli w górę, jak najzuchwalsi szaleńcy niepowstrzymani żądzą, najzłośliwszą przeszkodą. Coraz, rozleglejsza panorama otwierała się poza ich plecami w miarę, jak docierali do szczytów, coraz nowe i nowe fałdy górskie, coraz nowe kratery wynurzały się z widno kręgu, jakby dziesiątki ponurych amfiteatrów.

Aż doszli na przełęcz i zionęła ku nim Kolosalna studnia krateru Kruno, okolona pierścieniem górskim, którego przeciwległa połać daleko, daleko na horyzoncie dźwigała się w niebo, o stokilkadziesiąt kilometrów w linii powietrznej od oczu ludzi.

Bezдно tej czeluści biło, jak obuchem w mózg, oszałamiając ciało bolesną paniką. Na środku stożek, niższy nieco od gór pierścienia, sterczał z płaszczyzny zastygłej lawy. Ziemia wisiała pomiędzy dwoma słupami turni, jak olbrzymia latarnia, kołysząca się na rozciągniętym między nimi łańcuchu...

Ale nigdzie nie było ani śladu latawca Amir-Kiwi. Lori-

Dor miał słuszość. Trzeba było wracać, a zbadanie wnętrza krateru pozostawić sobie na później.

Gdy schodzili po karkołomnym stoku Lori-Dor zachwiał się i byłby runął w dół w bezden, gdyby nie błyskawiczna pomoc zwinnego, jak kot górski, Neba. Podziękował i szedł dalej, ale Nabu widział, że kolana uginają się pod nim.

Sam Nabu umierał też z pragnienia i znużeniu.

Żar przepalał nawet ochronne tkaniny ich kostjumów, nie przepuszczających promieni słonecznych. Ochładzacz elektryczne przestawały funkcjonować, zużyte wyężoną pracą, tlenu w zbiornikach nie dostawało już, bo piersi ludzi zbyt gwałtownie wobec straszliwego wyczerpania i upału wchłaniały go w obolałe płuca. Krztusili się. Mimo masek nozdrza, gardła i oczy ich pełne były pyłu i sadzy. W skroniach były pośpieszne mioty pulsów, głowy porywał co moment zawrót, a krew uderzała do ust, nosa i uszu lak, że lada chwila wola mogła nie dopisać i rozluźnione nerwy pójść w rozsypkę. Wtedy dwa kłębki ciał stoczyłyby się szybko po głazach w przepaście, by roztrzaskać się tam na miazgę.

Na terasach gejzerów Lori-Dor osłabł zupełnie. Zrozpaczony Nabu usiłował przywrócić go do sił, ale na próżno, inżynier stracił przytomność.

Nabu uczuł tak obezwładniające znużenie, że nogi ugięły się pod nim i usiadł. Zdawało mu się, że kona. Przez rozszerzone śmiertelną, gorączką źrenice widział jeszcze świat, jakieś dziwaczne kłębowisko plam białych i czarnych i czerwonych, poczem wszystko to zawirowało przed jego oczyma i począł majaczyć...

Widział stare miasto Asar i okręty elastycznie przesuwające się po tafli Dżdżystego Morza. Widział siebie na czele zbrojnych zastępów, krwawe mioty wystrzałów z elektrycznych katapult i złowrogie przemarsze przez

wnętrza Gór Urwistych.

Polem terasy ogrodu kapłańskiego i zazieleniły się przed nim i smukła postać Elen zbliżała się ku niemu szybko. Jakaś biała plama przeleciała po niebie, pewnie to któryś z jej ptaków...

– Nabu! Nabu! – słyszy wódz gorący szept dziewczyny. Ocknął się na chwilę i zdumiał.

Drobna postać w koszlumie i masce pochylała się nad nim dźwigając go z ziemi. Nieopodal na terasie pomiędzy dwoma różgami gejzerów spoczywał oryginalnego kształtu latawice.

– Ktoś ty? – krzyknął Nabu.

– Elen! – odpowiedziało zjawisko i przez szkła okularów, z poza maski spojrzały nań znane mu dobrze umiłowane oczy.

– Oh, Elen. Elen! – jęknął jakże ja szukałem ciebie.

– Prędko wstań i pomóż mi przenieść jego...

W Nabu wstąpiły naraz nowe siły. Lekko, bez trudu uniósł ciało Lori-Dora i przeniósł je do kabiny latawca.

Zatrzasnęli drzwi. Elen stanęła przy, kierownicy i statek poderwał się do lotu.

– Gdzie jest twój pocisk? – spytała Elen.

Nabu wskazał kierunek.

Latawiec poruszany genialnie skonstruowana machina pędził chyżo. Dwie siły bezustannych wybuchów stłoczonego gazu działały nań, jedna pchając go tłokami raptownych i szybkich jak myśl eksplozji przed siebie równoległe do ziemi, druga dźwigająca go w górę na barkach takich samych wybuchów.

Za chwilę latawiec wylądował obok pocisku Nabu i wszyscy przenieśli się do wygodniejszej *tegoż* ostatniego kabiny. Lori-Dor oprzytomniał.

Nabu ukląkł i bez słowa całował palce Elen, a dziwny,

radosny szloch chwycił mu gardło skurczem.

Siedzieli w kabinie pocisku przy stole kończąc spożywanie pokarmu i sycąc pragnienie wodą. promienni i milczący.

A Elen kończyła swoją opowieść, snującą się jak dziwna, niesamowita bajka. O tem, jak w głuchej nocy pował ją z jej komnaty Amir-Kiwi z trójką sług zbrojnych. Jak odurzył ją i uśpił narkotykiem. zamknąwszy w kabinie latawca. Jak obudziwszy się, ujrzała już przez okienko kabiny oddalając się poza widnokrąg południowe wybrzeża Dźdźystego Morza. Jak Amir-Kiwi powalił ją straszliwym uderzeniem, gdy Elen w czasie utarczki jego z Tao-Tanem chciała go ubezwładnić. Jak przelatowali nad Morzem Skwaru i Krajem Kraterów, a ją lęk, i gniew coraz potężniejszy ogarniał. I wreszcie, jak znęcał się nad nią Amir-Kiwi w bestialskich porywach żądz, u podnóży kraterem Kruno i jak napaści jego odpierała uparcie ostrą bronią zębów i paznokci.

– Zobaczył wasz pocisk – kończyła – i wybiegi, a ja za nim. Gdy pocisk zniknął za skałami, chciał zmusić mnie, bym wróciła do kabiny. I pchnęłam go, pchnęłam bardzo mocno...

– I co? – pytali gorączkowo mężczyźni.

– I spadł w przepaść... a ja zemdlałam...

Nabu pochwycił jej ręce i począł obsypywać pocałunkami.

– Czekaj Nabu – broniła się. – Gdy się ocknęłam, przypomniałam sobie zaraz wszystko i wzięłam bez namysłu za kierownicę. Oh, naszukałam się ja was, naszukałam. W tył i naprzód i w prawo i w lewo kierowałam tą przeklętą maszynę. Aż w końcu, gdy już zwątpiłam zupełnie, ujrzałam przez szkła powiększające dwa nieruchome punkty. Instynkt raczej i przeczucie

powiedziało mi, że to wy, wylądowałem wtedy i...dalej już wiecie...

A wtedy Nabu opowiedział Elen poważnie i łagodnie o katastrofie, jaka nawiedziła ich ojczyznę. Dziewczyna na wieść o śmierci ojca i zburzeniu Asar zbladła, poczęła się trząść nerwowo, a potem szlochać...

– Ojczy, ojczy – jęczała upadając na podłogę i długo tonąc w nieutulonym łkaniu. – Asar. Asar, niema już ciebie?

Próżno głaskał Nabu i *całował* delikatną pieśczętą jej włosy.

Elen dygotała bez przerwy, a łzy spływały po jej policzkach strumieniem..

Straszna, posępna noc księżycowa zbliżała się.

– Musimy wracać – zawyrokował Lori-Dor a Nabu skinął na to głową potwierdzająco.

– Słyszysz – odezwał się...

Istotnie – jakieś dziwne, stłumione szmery i świsty rozlegały się w przestrzeni. Ledwo dające się zauważyć drgnienie wstrząsnęło skorupą globu.

– Krater budzi się – szepnął Lori-Dor i zbladł.

W teże chwili wstrząs powtórzył się i pocisk podskoczył elastycznie na rozkołysanej podstawie tak, że obaj przewrócili się. Elen spodła i szczęśliwie nie obudziła się.

– Uciekajmy – krzyknął Lori-Dor.

Otworzył drzwi i wybiegi z pocisku wsiadając do latawca Amir-Kiwi. Nabu jednym skokiem znalazł się przy stoliku regulatora i obznajomiony już z aparatem, poderwał go potężną eksplozją rakiety do lotu.

Natychmiast wzniósł się potwór napowietrzny prawie pionowo w górę i śmignął wprost na północ, przelatując błyskawicznie nad kotłami niezliczonych kraterów. A Nabu spoglądając w okno, znajdujące się w tylnej ścianie kabiny,

dojrzał groźny, niebosięźny słup ognia wytryskujący z czelności Krateru Kruno.

– Oto pierwsze oznaki katastrofy – pomyślał.

W tejże chwili chmura popiołu rozpościerając się z szaloną szybkością dokoła dosięgła i prześcignęła pocisk, pograżając go w gęstym, nieprzebitym mroku tak, że latawiec Amir-Kiwi znikł momentalnie z oczu Nabu.

Młody wódz przeraził się. Oto ciężka próba.

Gwałtownie pochylił się nad mapą, szukając, czy na prostej linii jego biegu niema jakiego górskiego olbrzyma, o którego mógłby się roztrzaskać joga statek. Po ciemku łatwo, było omylić się i nastawić regulator pod kątem o włos choćby tylko niższym od poziomym, a na przestrzeni kilkudziesięciu kemt musiałyby *to* doprowadzić do zderzenia z globem. Wobec tej groźby Nabu pchnął pocisk regulatora w górę, co dało mu za chwilę możliwość obserwowania niezwykłego widowiska.

Po *pewnym* czasie, mianowicie statek wydostał się z chmury popiołu wulkanicznego, a że Nabu dał mu kierunek ukośny w niebo znalazł się o jakieś 25 komt ponad księżycem.

Nabu omal nie krzyknął z zachwytu i grozy tego widowiska.

Hen, w bezdnie, w dole olbrzymie koło rozszerzonego gwałtownie widnokregu, biała tarcza poplamiona wężowidłem cieni, zapadała się i rozpościerała we wszystkich kierunkach wciąż jeszcze.

W tyle kolos krateru Kruno purpurową różgą ognia grożący niebu, otoczony wieńcem nieprzeliczonych mniejszych kraterów. Kręgi i kręgi bez ładu, bez granic, bez końca. Jedne zaczepione o siebie, jak ogniwa łańcucha, inne tworzące jakby całe pole tuż obok siebie wydrążonych dużych i małych studni. Mniejsze we większych,

najmniejsze usadowiono na stokach i szczytach największych kraterów.

Pod pociskiem ostatni ogromny krater ucieka z niezgrabnym pośpiechem wstecz, a od jego podnóża, aż po widnokrąg przed oczyma Nabu rozciąga się niezmierna pustka Morza Skwaru. Na prawo ów prosty wał i trzy kolosalne kratery z których ostatni najpotężniejszy dotyka niemal pasu równikowego. Mnustwo bruzd i szczelni, cała dziwaczna gmatwanina linii wiję się po podłodze globu.

Nabu dał bodziec rakietą, i pocisk pobiegł ukośnie w dół przyczem księżyc wraz z górami, dolinami, rozpadlinami i kraterami począł walić galopem, jakby wprost na siatek Nabu. Było to tak wstrząsające wrażenie, że kto coś podobnego raz zobaczy, ten już nigdy tego widoku nie zapomni... Bryły gór rosły, horyzont zacieśniał się, pustynia rozlewała się bezkarnie, gubiąc na widnokręgu zapadające się szybko kotły kraterów.

Nabu poszukał lunetą latawca, prowadzonego przez inżyniera. Nie mógł go jednak odnaleźć. Przeraził się, że Lori-Dor uległ katastrofie, nie zżyty dostatecznie z maszyną Amir-Kiwi. Mimo to nie zbaczał, ani nie hamował biegu, rozumując słusznie, że jeśli Lori-Dor żyje i jest na przedzie, zaczeka na niego w kraterze Timt, jeżeli zaś opóźnił się, to on, Nabu, uczyni to samo...

Nabu wziął tak szalony pęd że pustynia Morza uciekała z pod statku, jak obłok gnany wichrem.

Gdy mijał pas równikowy, Elen zbudziła się.

– Gdzie jesteśmy, Nabu? – spytała.

– Nad równikiem...

– A gdzie jedziemy?

– Na wyspy Archipelagu...

I Elan usnęła znowu.

Na dole długie cienie dawały znać o zbliżającej się nocy.

Mimo tego, jednak Nabu miał nadzieję dotarcia przed zachodem słońca do Gór Słonecznych, a nawet do kraju Żeglarzy Timrów.

W kraterze Timt latawca inżyniera nie było jeszcze. Mimo to rachuby nie zawiodły młodego wodza. Lori-Dor nadleciał wkrótce z południa, lądując tuż obok pociska Nabu. Spóźnił się, bo chyżość biegu maszyny Amir-Kiwi była o wiele mniejsza od chyżości statku zbudowanego przez inżyniera Archipelagu.

--- Wodzu, jedźmy natychmiast dalej. Ty uciekłeś tak szybko że nie mogłeś zaobserwować, co się dzieje na południu. Straszliwa chmura gazów bucha z Krateru Kruno. Pomimo hermetycznego zamknięcia mojej kabiny, uczułem tak dziwne znużenie i ból nerwów i zawrót głowy, że nie wątpię ani na chwilę w zabójcze, trujące właściwości tego gazu. Dopiero w okolicy prostego wału na południowy-zachód od olbrzymich kraterów wydostałem się z tej chmury. Przychodzą jakieś wielkie kataklizmy. Skorupa Morza Skwaru w moich oczach kurczyła się i wyginała w garby i fałdy, tak okropne *targają* nią wstrząsy. Rzecz pewna, że krater Kruno wybuchł z taką siłą, że cała południowa półkula rozkołysała się w potężnych drgawkach. My cudem tylko uniknęliśmy zagłady.

--- Istotnie – rzeki Nabu przestraszony, – gdybyśmy o jedną chwilę później wyruszyli z pod Kruno, byłoby już po nas...

– Jedźmy!

Lori-Dor pobiegł do swojego latawca i oba statki wzbily się w górę.

Wspaniałym łukiem przelecieli nad masywami Gór Słonecznych i pozostawiając poza sobą ich strome turnie, znaleźli się nad krajem Ilu-Bo.

--- Czy można lądować? – wysiał Nabu radio do

zaprzyjaźnionych Timrów. – Zapytuje Nabu, wódz Asaras...Lądować – brzmiała odpowiedź ze stolicy.

Za chwilę aparaty znalazły się nad Sargossar i opadły na wielki plac przed Pałacem Rady. Natychmiast tysiączne tłumy ludu zgromadziły się dokoła, zalewając plac cały. Paru dowódców wojsk Timrów - po których odznakach Nabu poznał ich wysoką godność – podeszło do nich, zapraszając do Pałacu Rody.

Lori-Dor i Elen zostali przy latawcach, a Nabu udał się za nimi.

Gdy wszedł na salę, rozległ się głuchy szmer podziwu, w który wplątała się równocześnie dziwnie żałosna nuta.

– Nabu, witaj! – rzekł starzec Atlatant. Wielki Żeglarz, składając poważny ukłon wodzowi wojsk Asaras. – Czy powracasz naprawdę z kraju Kraterów?

– Tak. Wielki Żeglarzu Atlatant !...

– A czy przywiozłeś tę, po którą udałeś się na wyprawę?

– Przywiozłem zdrową i całą...

– Więc niechaj Słonecznemu Stwórcy będą dzięki. A czy wiesz o tem, że lud twój nie istnieje już?

Nabu zbladł, wargi poczęły mu drżeć i cofnął się o krok wstecz.

– Jak to? – zapytał głosem zdławionym.

– Przybywasz z daleka i nie wiesz nic o smutku i nieszczęściu, wielki wodzu. Czemu, czemu lud twój opuściłeś? Tej noc, w której ty gotowałeś się do podróży, wojska Dar i barbarzyńcy nadeszli po lodzie i gdy ty rankiem odlatywałeś w swoją niebezpieczną wędrówkę oni lądowali już w górach na południu Koroe-Istma. Stoczono dnia tego wielki, wielki bój. I pobili ludzie z Dar żołnierzy i wodzów twojego ludu, a ludność całą wytępili ogniem i mieczem.

Potem przejechali okrętami na inne wyspy i wszędzie rozsiali popłoch tak straszliwy, że nikt już nie bronił się przed nimi. Zabili wszystko, co zostało z ludu Asaras, mężczyzn, kobiety i dzieci...

– Więc już za późno przybywam?

– Za późno, wodzu. Wielu z narodu Asaras wsiadło na łodzie i okręty, aby uciec. Wylądowali oni w Zatoce Mrozu i stamtąd smutnym szlakiem udali się w świat...

– Gdzie poszli? – wyjąkał Nabu.

– Tam, gdzie Słoneczny Stwórca iść zabrania. Na drugą półkulę. Tam, gdzie mieszkają Ludy Nieczyste, w kraj, od którego odwróciła się matka Ziemia, aby nam tylko świecić...

Nabu stał przez chwilę bez ruchu i zakrywając ręką oczy, szlochał, a żeglarze Timro opóścili głowy na piersi, szanując ból wojownika. Potem Nabu podniósł głowę i rzekł:

– Słuchajcie mnie teraz ludzie z Itu-Bo, mężni Tiimrowie z gór Gór Słonecznych. Kryjcie się w jaskinie i podziemia wasze. Zabierajcie żony, dzieci i pożywienie, bo wielka klęska od południa się zbliża!..

– Co? co?! – zawrzaśli członkowie Rady.

– Wielki krater Kruno wybuchł na południu, okropne trzęsą skorupą globu i ogromna chmura gazów wylatuje z wnętrza księżyca, rozlewając się szybko po kuli jego. Gaz, który truje gaz, który zabija!

– Oh! – wszczęli lament Żeglarze --- co mówisz, Nabu? Gdzież nam tedy uciekać?!

Nabu ramiona bezradnie opuścił.

Może na północ, ale tam już barbarzyńcy siedzą. Nie wiem, bracia... Może gaz ten przejdzie tak szybko, że zostajemy w kryjówkach, a może... może zginiemy wszyscy...

— I ludzie Dar i barbarzyńcy i Ludy Nieczyste? --- wołali Timrowie zgiełkiem napełniając salę Rady.

--- Jeżeli gaz jest naprawdę zabójczy, zginą wszyscy!

Na polu była już noc.

Więść o strasznym gazie rozeszła się już dziwnie szybko wśród ludu i w blaskach lamp po ulicach i placach przewalały się narzekające i szlochające tłumy.

Członkowie Rady rozkazali wszystkim kryć się wraz z żonami i dziećmi i pożywieniem, jak radził Nabu, i rozesłali wieść tę do wszystkich miast i miasteczek

A Nabu powrócił do pocisku, aby uprzedzić i uspakajać Elen. Ale Elen była mężną dziewczyną i rzekła tylko, że potrafi umrzeć bez trwogi, jeżeli umierać będą razem.

--- Gdzież pojedziemy? --- mówiła. — Jeżeli zaraza z wulkanu Kruno idzie ku nam, to rozleje się ona wszędzie. Nigdzie niema tedy ratunku, nigdzie schronienia. Zostańmy tutaj i czekajmy końca...

I zostali...

A tymczasem z południa istotnie nadchodziły złe wieści. Barbarzyńcy z okolic krateru Timt marli już całymi plemionami i nie było schronienia przed trującym gazem, który wciskał się wszędzie. Nabu sądził, że maski gazowe, używane dotąd, ocalić mogą człowieka od zagłady, ale pokazało się wkrótce, że i one są bezsilne wobec tej substancji. Może, gdyby był czas zbadać naturę jej i skład chemiczny, udałoby się inżynierom skonstruować przyrządy ochronne, zagłada jednak postępowała zbyt szybko. Strażnicy Timrów w Górach Słonecznych mimo masek gazowych pomarli momentalnie, skoro tylko znaleźli się w sferze działania trującego gazu,

Niedługo potem zaraza przepłynęła przez łańcuch Gór Słonecznych i zstępować poczęła w ludny kraj Itu-Bo zamieniając go w piekło zatruty i przerażenia.

Owa kometa, którą widział Amir-Kiwi nad kraterem Kruno, zaświeciła teraz całkiem wyraźnie im niebie północnej półkuli, rażąc trwogą lud cały. Wsi i miasta wymierały, ludzie gromadami biegli na północ, wiodąc wozy naładowane dobytkiem i sądząc, że zdołają uciec przed posuwającą się strefą śmierci.

W portach kraju Itu-Bo tysiące stłoczyły się, krzycząc, by wpuszczono je na okręty. Wieści o katastrofie doszły już uszu mądrego ludu Dar, napęniając paniką jego siedziby i krainy zdobytego przezeń królestwa Asaras i wszystkie wyspy Archipelagu.

Gdy w Sargossar wszczął się popłoch i lament straszliwy (bo zaraza u bram miasta już stała), a grozę zwiększał jeszcze mrok i mróz nocy, Lori-Dor wpadł do kabiny pocisku, w którym mieszkali, spodziewając się, że on przez jakiś czas utrzyma ich przy życiu.

--- Nabu – zawołał – jedziemy!

--- Gdzie?

– Do Asar, na północ, prędko!

Nabu był człowiekiem czynu. Pocisk pchnięty rakieta, strzelił słupem w niebo i poleciał na północny wschód.

– Co czynicie? – spytała Elen.

– Do Asar! Tam może czeka nas wybawienie!

– Jak to? – krzyknął Nabu.

– Nabu, czyż nie wiesz nic o procy elektrycznej, która strzelić miała na Ziemię pocisk króla Ar-Azasa?!

– Słyszałem, ale cóż z tego?

– Nie pojmujesz mnie, wodzu?! Ja budowałem nowe obserwatorium królewskie! Ja konstruowałem katapultę Ar-Azasa! Jedźmy tam! Jeżeli ostała się ona pod gruzami, jesteśmy ocaleni!...

– Z pewnością zdruzgotał ją wybuch Abry, a choćby nawet istniała jeszcze, to cóż zamierzasz uczynić,

szaleńcze?! – spytał Nabu.

Pocisk przelatywał nad Morzem Dżdżystem i na zachodzie zabłysły kolorowe światła wysp Archipelagu.

– Nabu, Elen! – krzyknął, trzymając rękami skronie Lorl-Dor. – Przecież to jasne. Jeżeli katapulta istnieje jeszcze, pójdziemy stąd na... na Ziemię!!!

– Na Ziemię?! – osłupiał Nabu.

Zapadła cisza, przerywana tylko szybkim oddechem trojga ludzi. We wnętrzu małej kabiny, gdzie dwoje mężczyzn i kobieta, trzy drobne istotki spoglądały na siebie w olśnieniu, ważył się potwornej doniosłości czyn, ważyły się losy planet...

I wstała Elen, biała córka księżycy, oblubienica człowieka Nabu i podeszła ku niemu, a kładąc na jego ramieniu dłoń żony i matki rodów ludzkich, wyrzekła te słowa

– Tak, jedźmy na Ziemię, Nabu...

Epilog.

ZKSIĘŻYCA NA ZIEMIĘ.

Pod nimi W dole ogromna równia zawałona chaotycznym rumowiskiem. Oto Asar...

– O miasto! miasto! --- jęczy Elen z rozwartemi szeroko oczyma, wpatrzona w tragizm spopielalego cmentarzyska.

Pocisk ukośnie zbliża się ku powierzchni globu i rzut jego gna wprost na szczątki laboratorium Ar-Azasa potworny kopiec gruzu na miejscu cudownych, jak bajka, gmachów.

Asar jest zupełnie puste.

Ludzie z Dar otoczyli je żelazną, strefą straży, nie dopuszczając nikogo do ruin stolicy. Sami czekali też, aż kłęb nie zdrowej chmury gazów ulatującej wciąż - jeszcze z podziemnych rezerwoarów i pracowni Mięsta Olbrzymów, rozproszy się i zniknie zupełnie. Wtedy dopiero mieli zamiar przystąpić do wielkich robót nad rekonstrukcją skarbów techniki i wiedzy pogrzebanego królestwa. Ale teraz już było to za późno.

Na całym obszarze kraju, zajętego przez wojowniczych zdobywców, jęczały aparaty głosowe, stukało radio, przynosząc druzgocące wieści o posuwaniu się strefy trującego gazu, buchającego z krateru Krono, na południu. Śmierć przekroczyła już potężny mur Gór Urwistych przelewając się nie widziałem tchnieniem przez przełęcz i wrota między, trzonami turni...

Z kraju Dar nadbiegały alarmujące depeszo.

W południowych prowincjach nad Morzom Jasnych Nocy lud marł gromadami bez ratunku. Trzecia, najstraszliwsza wędrówka narodów przewalała się lamentującą falą przez obszary księżycy, wędrówka mas

ludzkich pierzchających w ślepej panice. Wszyscy szli na północ. Mężczyźni, kobiety, dzieci na wozach elektrycznych i na prostych dwukolnych pudłach, ciągnięte przez wytrwale Obi i koty górskie Bassarang, naładowanych pozbieranym w pośpiechu dobytkiem.

A zagłada doganiała ich i porywała wciąż nowe i nowe szeregi, Szła przez wielką puszcę leśną Djas, szła przez okolice wspaniałych kraterów na południu królestwa Asaras, przepłynęła ponad Zatoką Szlamu i przeszła ponad ruinami świetnych niegdyś miast Osmud i Ibel. A lud Dar i barbarzyńcy i mieszanina przeróżnych różnojęzycznych szczepów, ciągnących od południa, wszystko to parło ku Górcom Lodowym, aby głęboką brózdą międzygórską przedostać się ku Morzu Lodowemu i dalej na drugą półkulę. Nie wiedzieli nic nieszczęśliwi, że i druga półkula, choć żyzna i kwitnąca i żywotna razem z jej licznymi, dziwnymi ludami i miastami, pełnymi zagadek i cudów, wymiera w przerażającym tempie, pod złowrogim tchnieniem oszalałego krateru Kruno. Drzewa i krzewy więdły, schły i przemieniały się w martwe szkielety, zwierzęta, owe niesamowite Dadlodu o krągłych, fosforyzujących baniach, zamiast głów, zawieszonych na długich, cienkich, chwiejących się giętko szyjach, potwory wysysające z ludzi życie na odległość, mimo swej straszliwie odpornej, niezbadanej struktury organicznej, ginęły również od zarazy gazów.

A ludzie?

Tych śmierć ciskała o ziemię błyskawicznie w jednym okropnym krzyku rozpacz i martwo szklące oczy trupów wytrzeszczały swe ślepo gały ku słońcu i sinemu niebu...

Nabu. Lori-Dor i Elen wylądowali szczęśliwie.

Spożyli cośkolwiek ze swych obfitych zapasów i zaopatrzeni w maski i kostjumy, zabrali się do żmudnej

pracy. Olbrzymia wieżyca obserwatorium Ar-Azasa zwaliskiem swem utworzyła tak wysoki stożek rumowisk, że od razu zastanowiło to przemyślnego inżyniera.

– Jakiś powód w tym tkwić musi... – mruzczał, przyglądając się smutnemu grobowcowi króla.

– O czym myślisz? – zagadnął go Nabu.

– Myślę, że skoro wieża wałąc się zachowuje tak bardzo stromy kształt stożka, zamiast rozsypać się bezładnie dokoła, to musi ona posiadać jakiś twardy, niezniszczony szkielet, coś jakby kręgosłup, który stercząc sztywno i mocno w niebo, daje tym nastoperczonym ruinom oparcie.

– Cóż to być może? – pytał, przytakując jego wywodom, Nabu.

– To może być tylko najwspanialsze dzieło mojego życia: katapulta Ar-Azasa, oblubienica królewska.

– Zatem... – ucieszył się Nabu.

– Zatem przystępujemy do pracy z zapalóm i pośpiechem, bo czas nagli, a ufam, że nie rozczarujemy się. Nie wątpię, że potężna rura procy ostała się mimo miazdzącej przemocy wybuchu i wstrząśnienia globu.

Rzucili się obaj do pracy, rozwalając stosy gruzu i odsuwając je na bok z wysiłkiem. Rumowisko, rozkopywane u dołu, osuwało się, zesypywało wciąż niżej i niżej, a lawiną szczątków gmachu omal nie przywaliła parokrotnie szamocących się z nią ludzi.

Po chwili dziwny, szary walec, niby szczyt wysokiego komina wynurzył się z gruzów.

– Patrz, patrz – zawołał Lori-Dor zadzierając do góry głowę. – Jest, ocalała, żyje!..

W porywie entuzjazmu zapomniał, że katapulta królewska jest przedmiotem martwym.

Żyje powtórzył – Dalej do roboty, prędzej wodzu!

Za jakiś czas stalowo szary walec kolosalnej procy

elektrycznej uwolniony całkowicie z pod brzemienia gruzów sterczał już dumnie w niebo. Dziwny skurcz wzruszenia zdławił gardło ludzi na widok wspaniałego olbrzyma zionącego w gwiazdy radosną pieśnią obietnic.

– Ziemio! – wyszepta! Nabu – Patrz na nas i błogosław nam...

A Elen wsparta o ścianę pocisku z twarzą wzniesioną w górę wpatrywała się wciąż w matową, połyskliwą kulę ową niesamowitą tarczę majaczącą w przestworach. Tak, to była Ziemia i ona to miała dać przytułek znękanym istotom ludzkim, które chłonęła już nieubłagana śmierć na tym strasznym, bezlitośnym, drapieżnym księżycu.

Lori-Dor odnalazł wreszcie wejście do podziemnego laboratorium. Olbrzymia okrągła komnata cudem prawie pozostała nietknięta. W górze u sufitu potężna tarcza o średnicy dwunastu długości człowieka nabita guzami przedziwnych śrub, głowni i kół zębatach. Była to zatrzaśnięta klapa katapuły.

A pod nogami ludzi otwiera się na środku komnaty studnie o równic wielkiej średnicy.

Z otworu jej sterczał w górę stożkowaty dziób kolosalnego pocisku.

Lori-Dor w uroczym milczeniu skinął na towarzyszy.

– Zejdźmy niżej – przynaglił.

Winda. Znaleźli się o piętro niżej. Pomost i drzwi do pocisku.

Lori-Dor szedł pierwszy i rozświetlił naraz wnętrze komnaty blaskiem jarzących lamp elektrycznych.

– Oto nasza kolebka i trumna. Ona nam da nowe, nieznanne życie albo śmierć nas otuli. Przypatrzcie się jej dobrze. Jest tu wszystko, czego nam będzie potrzeba w tej podróży, oraz cały magazyn przyrządów umożliwiających

nam, ludziom Księżyca bytowanie na Ziemi. Król Ar-Azas bardzo mądrym człowiekiem. On wiedział dobrze na jakie trudności natrafi organizm jego na tej ogromnej planecie. Znał dokładnie skład atmosfery Ziemi i jej gęstość, długoletnie badania oparte na wielu tysiącach lat studjów jego poprzedników nauczyły go, jak wygląda Ziemia tak dobrze, że nic z tego co się dzieje na niej, nie było mu obcem. Dzięki tym wszystkim instrumentom i środkom ochronnym, które tu widzicie będziemy mogli wylądować na Ziemi swobodnie. Oby tylko nas ule zawiodły obliczenia, oby nasz pocisk nie zboczył z drogi, którą mu wyznaczymy i nie upadł w otchłanie mórz ziemskich.

Lori-Dor opuścił pocisk, a jego śladem poszli Elen i Nabu.

Zeszli o dwa jeszcze piętra poniżej.

Znów pomost i wielka, przezroczysta szyba...

– Co to?

– Głowonogi... – rzeki spokojnie Lori-Dor.

W olbrzymiej hali zalanej srebrnopopielatym światłem sterczały nieruchomo owo przerażające, promieniotwórcze banie napełnione płynem szarym, jak mętne mleko, rozsiewającym niesamowity, łagodny poświatę. Długie rozwlekłe korzenie o kabłąkowatych kształtach zwisały jakby martwo. Czasem tylko jakiś słaby, leniwy wstrząs przebiegi po owych dziwacznych członkach głowonogich stworzeń.

A w pośrodku bań świetlanych błyszcząły punkty białe o tak sztraszliwie wytężonym blasku, że trzeba było spuszczać oczy, gdy padło na człowieka ich okropne spojrzenie.

Cała hala pełna była elektrycznych przewodów, których końce przymocowane były do głów potworów.

– Jakim cudem ocalały? – szeptał jak urzeczony Lori-

Dar – jakim cudem ocalały?!

A głowonogi drgnęły i członki ich poczęły falować.

Nad głowami ludzi na metalowej płycie dzwoniący sztyft zaczął skandować jakieś dziwaczne depesze.

Lori-Dor słuchał.

– Powiadając, że ono ocalały laboratorium. Ich wola zahamowała wstrząs – rzekł.

– Straszne, przedziwne – mruzczał do siebie Nabu.

Lori-Dor przekręcił korbę, kontaktu i lekki wstrząs oczekiwany od dłuższej chwili nastąpił.

Potężna energia uwięziona w hall głowonogów, która przed chwilą olbrzymi pocisk wetknęła, jak piórko w lufę katapulty – miotnęła nim teraz w niebo.

– Aa!!! – krzyknęli ludzie.

Powierzchnia globu runęła w dół z przerażającą szybkością, aż zaćmiły się źrenice patrzących w dolne okienko. Lori-Dor tkwił wiernie na przodzie u obserwatorjum pocisku, a Nabu i Elon przywarli twarzami do szyby.

Dwa koła, dwa niesamowite kręgi.

Jeden rozlewający się, rozrastający jak grzyb straszliwy – to widnokrąg, drugi maleje błyskawicznie w coraz to drobniejszą plamkę – to Asar.

Glob poczyną fosforyzować mgliście. Oto, jak na dłoni wszystko. Góry Urwisie, Góry Słoneczne, Morze Dżdżyste i Morze Jasnych Nocy, Dziwne, matowe, jakby powłoka posuwa się zwolna, otulając jego owrzodzone kraterami ciało. To strefa trującego gazu wędrowała nieubłaganie ku północy.

Pocisk Ar-Azasa oddala się błyskawicznie od księżyca w międzyplanetarne przestwory.

Widnokrąg rozszerza się, ciągle zagarniając coraz dalsze obszary. Oto znajomy krater*) lśni drogocennym

pierścieniem. a tu biegun, a tu Góry Północne, na odsłoniętej oczom Nabu i Elen drugiej półkuli. Oto wieńce kraterów. Jest ich mnóstwo, są ich setki, tysiące. Cała powierzchnia globu podziurkowana niemi, jak sito. Plamy mórz błyszczą na tle bezkresnych lądów, jak szyby latarni.

Wtem widnokrąg przeskoczył poza krawędź księżyca.

– Patrz! – zadygotała krzykiem Elen.

Czarne, absolutnie czarne tło podścieliło się pod tarczę popielatego srebra. Księżyc wychynął, jako olbrzymia bania zajmująca nieomal całe niebo, ale już na krawędzi jego ukazał się czarny, ponury krąg firmamentu.

Cudny glob małał, kurczył się, odsuwał szybko wstecz.

Cała ta potworna masą i ciężarem kula gnała w przeciwnym kierunku od opuszczającego ją pocisku wraz z morzami, lądami, dziesiątkami tysięcy kraterów i łańcuchami nagich szczytów. Zda się słyszało się łoskot tego straszliwego, astralnego wozu, który porywał na siebie wdał miliony konających ludzi, zda się słyszało się wrzask i skowyt i lament agonji wielu narodów i wielu gatunków zwierząt i gwizd wybuchów niezliczonych wulkanów i przeraźliwy turkot ki-

*) Kopernicus.

piącego, rozszalałego jądra globu, pełnego eksplozji i śmierci, jak nabita bomba.

A księżyc małał wciąż i zajmował już tylko pół nieba.

– Baczość! – zawołał Lori-Dor, spoglądając na wskazówkę drogomierza. – Prędko do mnie! Zagapiłem się... Zaraz powinniśmy przekroczyć granicę ciężań...

Zanim Elen i Nabu zdążyli posłuchać jego wezwania, przykry moment nastąpił...

Straszliwa przemoc oderwała ich kurczowo trzyma-

jących się klamer u podłogi pocisku i rzuciła brutalnie w górę ku galeryjce u dziobu, gdzie stał Lori-Dor.

Elastyczne poduszki, któremi obite było wnętrze pocisku, ocaliły ich przed śmiercią, ale stracili przytomność na chwilę. Lori-Dor cucił ich, układając wygodnie na poduszkach galeryjki. w mózgu szalał mu dziwny zamęt i kłęb niesamowitych wrażeń.

W momencie przekroczenia granicy ciężenia ziemi i księżycy, uczuł nieprawdopodobną lekkość ciała, poczem niezrozumiały jakiś dziwaczny przewrót obalił pod nim podstawę, przerzucając ją w przeciwnym kierunku i oto znalazł się naraz w samym dziobie pocisku wtłoczony nogami w ciasną niszę obserwatora. Dno wraz z okienkiem, umieszczonem pośrodku znalazło się nad jego głową i chcąc ujrzeć na nowo Ziemię, musiał pochylić się i zaglądnąć w szybę obserwatora pod nogami.

Mimo odurzenia i zaskoczenia dziwnością tych zjawisk zdołał Lori-Dor przywrócić do przytomności Elen i Nabu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał młody wódz, otwierając oczy.

– Wlecieliśmy właśnie w sferę przyciągania Ziemi – odparł inżynier – i zbliżamy się ku niej.

Obaj ułożyli wygodnie potłuczoną i osłabioną Elen, a sami spojrzeli w obserwator.

Ziemia rozrosła się w ogromny, mglisty krąg, na którym widniały przez płaszcz atmosfery, jakby poprzez matową szybę zarysy lądów i jasne plamy mórz.

Księżyc zaś skurczył się bardzo i rozblęśił łagodnym, srebrnym światłem, przyczem rozróżniało się dokładnie jasną i promienistą kroplę krateru Timt i ogromną gwiazdę smug świetlnych, rozchodzących się we wszystkich kierunkach od krateru Kruno.

– Chyżość pocisku wciąż się zwiększa od chwili

dostania się jego w sferę przyciągania Ziemi – rzeki LoriDor. – Olbrzymia masa Ziemi ciągnie nas z coraz potworniejszą przemocą. Obawiam się jednego momentu, który będzie groźniejszym od tego, któryśmy dopiero co przeżyli...

– Mianowicie? – spytał Nabu.

--- Zetknięcia z atmosferą Ziemi... Będzie to uderzenie tak straszliwe, że momentalnie bieg nasz zostanie zahamowany, a ściany pocisku rozpalą się do białości. Nas żar ten nie pochłonie, bo zbyt silnie ubezpieczeni od niego jesteśmy, ale uderzenie może nas przyprawić nawet o utratę życia. Prawdopodobieństwo to nie jest wprawdzie wielkie, w każdym razie jednak ostrzegam...

– Trudno – odrzekł Nabu. – Na księżycu zginęlibyśmy na pewno, więc wybór był nietrudny.

Ziemia przybrała tymczasem potworne rozmiary i zalewała swoją błyszczącą masą coraz większy szmat nieba. Ponieważ ludzie nie czuli poruszania się pocisku, w którego wnętrzu się znajdowali, mieli wrażenie, że to Ziemia zbliża się ku nim, a nie odwrotnie. Było to przerażające i cudowne zjawisko.

Zdawało się, że niebo otwiera swoją niesamowitą paszczę, aby pochłonąć drobny pyłek wraz zuchwałemi istotkami, wędrującymi na tym śmiesznym stateczku po przestworze .

Mijały długie, długie chwile w zupełnym milczeniu.

Elen wstała cichutko z poduszek i zbliżyła się ku nim. Spojrzała w obserwator...

– Ziemia? Już tak blisko? – spytała głosem drżącym.

– Tak, Elen.

– A więc losy nasze rozstrzygają się. Mówiliście, że przy zetknięciu z atmosferą Ziemi możemy ginąć. Prośmy tedy Słonecznego Stwórcy o szczęśliwe wylądowanie i życie.

– Tak – potwierdził Lori-Dor. – Zbliża się chwila wielka. Spadamy oto na nieznaną glob, o którym nie wiemy, czy nas gościnnie przy wita. Znajdziemy się tam wśród obcych warunków, wśród groźnych może istot, które nas mogą życia pozbawić. My, pierwsi międzyplanetarni wędrowcy powitajmy jednak odważnie tę wielką macierz naszą Ziemię, nie tchórząc przed losem. Milczeli znowu długo, myśląc o ojczyźnie, którą opuścili na zawsze i o przyszłości i kruchości ich życia. Prosimi pokornie Słonecznego Stwórcy, aby ich od zagłady ocalił...

A Ziemia ogromem mórz i lądów swoich zalała już całe prawie niebo pod nimi. a księżyc hen, daleko w górze mała wciąż, przybrałszy na się postać niewielkiej, krągłej bańki.

Po chwili Lori-Dor zwrócił się do Nabu. Oblicze jego było blade, w oczach dziwny ogień tlił się.

– Nabu, pierwsza rakietka wsteczna!

Nabu przekreślił kontakt do rakiety, która miała zahamować bieg pocisku. Znaczyło to jednak niewiele wobec straszliwej siły przyciągania Ziemi.

– Co za szalony pęd – szepnął, patrząc na drogomierz.

Mgliste masywy lądów rozprzestrzeniały się po całym widnokregu. Widziało się już łańcuchy gór i doliny i rzeźbę morskich wybrzeży.

– Nabu, druga rakietka!

Nabu znów dał bodziec eksplozji.

Razem jedenaście rakiet już zużyli na powstrzymanie pędu, gdy Lori-Dor wskazał palcem Ziemię.

– Patrz, atmosfera!

Ziemię począł otulać woal coraz gęstszy, ćmiąc widok. Chmury pary wodnej zasłaniały całe, duże obszary lądu.

Jeszcze chwila. Widnokrąg zamienił się w niewyraźny, szarzejący tuman pokrywający niebo.

– Nabu, ostatnia rakietka!...

Młody wódz wypełnił polecenia Oddechał szybko, a myśli kotłowały mu się pod czaszką.

– Wpadamy w atmosferę! – krzyknął inżynier.

– Stwórczo słoneczny, miej litość! – jęła obok Elen.

Zrobiło się naraz ciemno.

Świsł, huk przeraźliwy, wstrząśnienie walące z nóg... a potem szarpnięcie wsteczne tak potworne, że ludzie we wnętrzu pocisku momentalnie stracili przytomność, rzucając się na ściany.

Gdy Nabu obudził się z omdlenia było zupełnie ciemno wokół... Wyciągnął ramię i namacał obok siebie ciało Elen.

– Aha, jesteśmy na Ziemi – przypomniał sobie.

Dowlóknął się do Elen i słuchał jej oddechu.

Żyła...

Posunął się dalej i o parę długości człowieka natknął się na jeszcze jedno ciało ludzkie.

– Lori-Dor – stęknął.

Inżynier nie poruszał się. Nabu dotknął dłonią jego głowy. Czaszka była strzaskana i pełno lepkiej krwi rozlało się dokoła.

Lori-Dor, woźnica międzyplanetarnego wozu już nie żył.

Elen i Nabu znaleźli się na olbrzymiej, nieznanym planecie, maluczcy i sami..

.(Koniec).